B

Genzano 1. września 1868 r.

Jutro święto patrona mego, węgierskiego Stefana. Obchodzę razem i urodziny i imieniny moje. Dzisiaj kończę dwudziesty dziewiąty rok życia, jutro rozpocznę trzydziesty. A to już strasznie wiele. Może to narzekanie wydać się dziwnem, może tchnąć jakiemś znużeniem do życia, jakąś niechęcią do czasów, co przyjdą, bo już niby wzrok ulata tęskno w tył za tem, co przeszło, co minęło na zawsze. A zwykle znużony tylko lub zakłopotany o dalszą drogę wędrowiec ogląda się w tył, mierząc przebytą przestrzeń, póki zaś rzeźki i pełen nadziei, kroczy naprzód, śmiało naprzód, nie dbając o to co minęło. Cóż mu przeszłość po niem, nic z niego nie wydobędzie, nie potrzebuje go zresztą, bo ma wszystko w sobie. Ale nie tak znużony! On wzdycha smutno za przebytą krainą, bo pamięta tylko na chwilę, gdy wśród niej odpoczywał, a zapomina o tych, wśród których się biedził i mozolił.

Otóż, jakie straszne następstwa z jednego, lekkiego westchnienia! Tak gdybym był znużony, zużyty, pełen rozpaczy, smutku i goryczy! Było tak przed kilku miesiącami, gdy mi wśród bezsennej nocy zajęczałem głucho: Klasztor albo śmierć! Oto gdzie mnie zaprowadził świat po wielu latach wiernej służby. Śliczna nagroda, nieprawdaż? A przecież służyłem mu tak wiernie! Nie odmawiałem sobie niczego, a choć nie byłem nigdy w rzędzie pierwszych bohaterów, choć zostawałem daleko w tył za lwami mody, składałem jednak podług sił, bez namysłu i bez zgryzot, ofiary na ołtarzu Zmysłowości i Próżniactwa. Piłem pełnemi hausty, ile tchu stawało, puchar zabaw, pochlebstwa i sławy, aż na końcu, fizycznie osłabiony, duchowo zatruty, czułem zbliżający się paraliż moralny, a za nim letarg zupełny. Wtedy powiedziałem sobie: nie, tak dłużej żyć nie-

sposób! nie chcę być świadkiem rozkładu mego i pójść dobrowolnie tam, gdzie miliony. Albo przeciwnie własną ręką cierpienia moje, jak wódz, który długo podziwiany lęka się aby na końcu nie stał się pośmiewiskiem nieprzyjaciół i niejako żywym pomnikiem własnej hańby swojej. Oto jedna droga, która mi się uśmiechała. Wielu nią poszło, ~~..~~ i to ludzi lepszych, a choć u końca jej widziałem jasno wieczną noc, zwieszałem głowę i szeptałem smutno: tylu tam poszło lepszych od Ciebie, na cóż się wzdrygasz.

Była to jedna droga, ale Bogu dzięki, nie jedyna. Równocześnie z wyrazem śmierci odbijał się o uszy moje bezustannie wyraz drugi, który jego zaprzeczeniem, który o tyle pełen, o ile tamten próżny; o tyle żywy i gorący, o ile tamten martwy i skrzepły. Pewnego dnia rzekłem sobie samemu: trzeba odrodzić się. Otóż i wyraz ten, rękojmia życia a zaprzeczenie śmierci. Ale czyż to podobna? Zrazu wątpiłem, potem mgły zwątpienia coraz więcej opadały i coraz więcej czułem pod stopami gruntu — był to grunt wiary. Na koniec powiedziałem sobie: podobna, bo Bóg tak miłosierny! Ale to już nie myśl moja, to myśl dana mi przez Źródło wszelkiej litości, aby mnie wyrwać z rozpaczy. A myśl ta nie raz przyszła; ona przychodziła bezustannie, w najrozmaitszych formach, ona była na dnie najodmienniejszych myśli innych. Ale czyż to nie łaska prawie niepojęta a trudna do oceny, odbierać takie myśli, gdy się robiło wszystko, co można było, aby na nie nie zasłużyć. Ale litości Najwyższego nie zmoże żaden uporem krnąbrnej a niewdzięcznej dzie-ciny. To też byłem mocno wzruszony temi niespodziewanemi darami łaski Bożej. Postanowiłem spełnić wszystkie Jego rozkazy.

Genzano 3. września 1868 r.

Ciągnę dalej spowiedź przedwczoraj przerwaną. Otóż i westchnąłem na pamięć ubiegłych lat dwudziestu dziewięciu. Powiedziałem już na poprzednich stronnicach, powody, dla których nie westchnąłem; czas więc, abym od ujemnych wywodów przeszedł do dodatniego zatwierdzenia.

Nikt nie wzdycha z radości. Prawidło ogólne, nie cierpiące wyjątków. Ponieważ nigdy, w żadnej rzeczy, nie liczyłem się do wyjątków, przeto i tutaj, idąc za ogólnem prawidłem, westchnąłem nie z radości, lecz smutku. Przyczyna smutku mego ta sama, co tylu innych niedoszłych wielkich mężów, że dotąd nic nie zrobiłem. Psychologia bowiem przyjęła za dogmat, i zdaje się, że nie bez słuszności, że oryginalność myśli i twórczość wyobraźni i energia woli ustalają się ostatecznie około roku trzydziestego. Wprawdzie zaczyna człowiek rozwinięte działanie swoje dopiero po tym czasie, ale kierunek i charakter jego działania pójdą koleją, utartą w pierwszej życia jego połowie. Jeżeli więc do trzydziestego roku życia swego nie miał nigdy oryginalnego pomysłu ani nic nie stworzył w dziedzinie wyobraźni ani nie zdobył się na żaden samodzielny plan akcyi, to w drugiej połowie życia daleko mniej można się tego po nim spodziewać. Zdaje się, że argumentacya ta ma wiele za sobą, a w głównych punktach swoich jest niezwalczoną. Jeżeli zaś tak, to łatwo odgadnąć powód mego westchnienia, bo gdy dwadzieścia lat minęło, nie zostawiwszy ani kreski jednej pod rubryką akcyi, to na cała nadzieja na trzydziesty opiera się. Ale gdzie dwadzieścia dziewięć omyliło, może i trzydziesty nie dopisać! –

Genzano 4. września.

Ale cóż za myśli! jak gdyby zakonnikowi jeszcze wolno było marzyć o sławie; marzyć nawet o sławie zakonu, już grzechem jest, a cóż dopiero, o swojej własnej! Ja pragnę być niczem, zostać niczem: w ciszę owinąłem się niby w całun a przykryłem się zapomnieniem, niby wiekiem trumny. Dzisiaj liczba lat dla mnie zupełnie obojętną rzeczą, bo czy mam ich dwadzieścia czy sześćdziesiąt, zawsze zostanę tem samem, t.j. niczem.

Gorzki wyraz to nic – zeschłe męty wspomnień światowych, z których nie otrząsnąłem się jeszcze zupełnie – a jaki on fałszywy, niedorzeczny. Jak gdyby nie było przeciwnie! jak gdyby w klasztorze nie było pełni życia, a zewnątrz jego murów, w świecie – nic? Niegdyś i ja przekonany byłem o pełni świata, o jego prawdziwości, a klasztor wydawał mi się otchłanią nicestwa. Dzisiaj gdy dowoli porównywam to co ~~przejrzałem~~ przeżyłem, z tem, co widzę do koła siebie, przysięgam, że świat przedrzeźnianiem tylko rzeczywistości a jedyną prawdą, jedynem życiem klasztor. Ale kto mi uwierzy? kto mnie usłucha? Mało kto, nikt może, wyjąwszy tych, co ze mną żyją. Trzeba poprzeć dowodem twierdzenia, a na to brak mi dzisiaj czasu; rozpiszę się o tym przedmiocie, gdy opowiem walkę wewnętrzną, którą stoczyłem długo przed ostateczną decyzyą.

Moje imieniny przeszły bardzo wesoło przedwczoraj: były to zarazem i urodziny moje. Brat Władysław zrobił mi koronkę z niedojrzałych zeschłych pomarańczek, bardzo ładną i wonną, z krzyżykiem z perłowej macicy. Rozczulająca rzecz jest podarunek od zakonnika, który nic nie ma własnego: inni może nic w tem nie zobaczą nadzwyczajnego, mnie się zaś zdaje, że w takim podarunku tkwi cząstka własnego jestestwa. Bo zakonnik ma tak mało, że w każdej rzeczy, którą posiada lub zrobi, jest jakby własna jego dusza.—

Wczoraj wieczorem wróciliśmy z długiej przechadzki, z Castel-Gandolfo, gdzieśmy jednak nie oglądali papieskiego pałacu dla braku czasu. Po kolacyi zanurzył się dom cały w milczeniu, bo dzisiaj rekolekcye, rozpoczynające się zawsze po kolacyi dnia poprzedniego. Dzisiaj wszystko milczy, tylko do modlitwy otwieramy usta. Czasem mi tak błogo z tem milczeniem, że chciałby być w niem ~~na~~ zawsze. Po śniadaniu odmówiliśmy matutinum i horae de beata, co na mnie zawsze robi nadzwyczajne wrażenie. W tem jednostajnem, bezkunsztownem recytowaniu psalmów jest coś tak wzniosłego, jak wspaniałe, a także jednostajne uderzanie o brzeg skalisty morskich fal. Szkoda, że nie codzień odmawiamy psalmów.

Rekolekcye takie jednodniowe mamy co miesiąc, w pierwszy piątek po pierwszym. Dzisiaj już drugie, które odbywam wspólnie z braćmi. Pierwsze, moje pierwsze wspólne (7. sierpnia w piątek) nie wyjdą mi nigdy z pamięci.

Spaceru nie było, a dni były jeszcze długie. Otóż wróciwszy z kościoła po wspólnej medytacyi i odbyciu Drogi Krzyżowej, spowiadałem się u O. Piotra i to raz pierwszy w mojem życiu. Kto nie doznał sam tego wzruszenia nie potrafi ocenić mego zapału. Taki on dobry i łagodny, jaki znawca głębokich serc i umysłów ludzkich. Po spowiedzi wróciłem nadzwyczajnie wzruszony do mego pokoju. Nie mogłem w nim wytrzymać - nadmiar wzruszenia, że Najwyższy przebaczył mi na nowo, rozsadzał mi piersi, tchu brakowało i powietrza. Pospieszyłem na taras. Jakiż tem spotkał mnie widok! Słońce co dopiero zaszło a wieczorna ciemność następowała na jego miejsce. A wiadomo, jak szybko odbywa się to przejście we Włoszech. Błyszczące morze i wedłuż niego rozpostarta, nieprzejrzana Kampania tonęły w coraz innych kolorach, że wcale żadnego nie można było rozeznać - ~~[illegible]~~ złoty się

wszystkie w jednej już na pół błękitnej, na pół niepewnej szarej barwie. Ta niby zasłona olbrzymia zakryła niebawem wszystko do koła, a w świetle zostały tylko góry, wśród których mieszkamy. Wtedy wyżyna, na której dom nasz stoi wydała mi się nagle wysepką, sterczącą po nad tą szarą, równią, w której już nic nie można było rozeznać a szara dolina u nóg moich wydała mi się światem. Nic z niego dochodziło do mnie, żaden odgłos, żadne, choćby najcichsze wspomnienie! A ja na dachu sam, z Bogiem moim, a tylko oddzielony od braci, z którymi spędzam szczęśliwe dni na modlitwie wspólnej i na łamaniu chleba. Czegoż mnie więcej potrzeba. Ta oaza, do której się schroniłem, niby do arki przed potopem, ma wszystko co stanowi szczęśliwość: modlitwę i chleb Boży — a świat nie ma nic, on taką pląską, w szarą, nierozpoznalną zatam odpinną równinę, po nad której poziom nic nie wygląda, jak domek Boży i garstka modlących się wiernych. Oby tak było zawsze! cudowne marzenie.

Ale czas już zakończyć pisanie; dzwonią na medytacyę, a i tak już pisanie to było ze szkodą duchownego czytania, którego nie godziło się zaniechać w dzień rekolekcyi. Ale myślałem że ono nie zapełni porostanie bez duchowej dla mnie korzyści. — Odkładam je więc na później. —

Genzano 11. września.

Piszę dzisiaj w pewnem znużeniu, rozprzężeniu pewnem fizycznem i duchowem, które zawsze większych wysileń towarzyszem. Większem takiem, zupełnie nadzwyczajnem wysileniem była wycieczka do Montecelli.

W poniedziałek (7go) wyszliśmy rano o 6tej do Civita Lavinia a stamtąd pojechaliśmy koleją do Valmontony. Z Valmontony mieliśmy zamiar udać się pieszo do Gennazzano, ~~przecięż jadąc~~ zastawszy na

stacyi omnibusy, wyglądające tęskno za podróżnymi, których niewiele pociąg przywiózł, wsiedliśmy do nich wesoło i skwapliwie i zamiast piechotą, odbyliśmy wjazd nasz do Genazzano czterokonnemi powozami. Prawda, że nie złyt w nich siedzieliśmy wygodnie. W mieście jest cudowny obraz N. P. sławny w odległych nawet włoskich prowincyach, to też przybywały bezustannie kompanie, aby wziąść udział w uroczystości dnia następnego (Nawiedzenie N. P. 8 go września). Po ulicach sprzedawają koronki, medaliki i inne drobne pobożności przybory, zupełnie jak u nas na odpustach.

Po obiedzie udaliśmy się w dalszy pochód. Droga, choć zwolna podnosząca się, była dobra i bita. Po drodze spotykaliśmy bez przestanku małe kompanie, dążące na odpust jutrzejszy do Genazzano, a witające nas wesołem i pełnem zapału: evviva Maria! Ten sam okrzyk rozlegał się w kościele, przed cudownym ołtarzem. –

Droga, choć ciągle jeszcze bita, podnosiła się zwolna; miasteczka S. Vito i Pisciano, przez które przeszliśmy, leżą na wzgórzach, jak wszystkie w tutejszych stronach. Stąd bezustanne wdzieranie się w górę i schodzenie. Za Pisciano dolną, niewygodną ścieżką stąpowaliśmy, zbliżając się ciągle do stóp góry Montorelleskiej, potem zaczęło się wdzieranie nasze. Powietrze stawało się coraz jędrniejszem i chłodniejszem zarazem, droga coraz więcej stromą, coraz więcej zasłaną głazami. Zapomniałem dodać, że było nas wszystkich dwudziestu, gdyż kollegium połączyło się z nami; stąd długi łańcuch wdzierających się postaci, z których niektóry na osłach, zupełnie romantyczny przedstawiał widok. Nareszcie po kilkagodzinnem, bardzo trudnem wdrapaniu się stanęliśmy z rozpoczynającym się zmierzchem w <u>naszem</u> Montorello. Powtarzam z dumą <u>naszem</u>, bo to pewny kawałek ziemi, do nas należący.

Genzano 12. września.

Ciągnę dalej przerwane wczoraj opowiadanie. Montorello zostawiło mi dziwne, głębokie wrażenie. Na nagiej skale, nie przedstawiającej prawie nic płaskiego, gdzie nawet mały przed klasztorem dziedziniec prochem zdobyto niedawno na nierównym, upornym gruncie, wznosi się mała, skromna bazylika w romańskim stylu; mury jej pochodzą podobno z czasów Konstantyna W. ale pierwotna budowa zgorzała. Najdawniejsze freski w kościele z początku XV. wieku; wielki ołtarz znacznie starszy i bardzo dziwny, w kształcie namiotu, na nim resztki mozajki, do koła żelazny niby parkan. Obok kościoła mały dwupiętrowy dom jest klasztorem, za nim rozciąga się ogród na pochyłości góry.

Genzano 26. września.

Nie kontynuuję opisu wrażeń, wyniesionych z Montorelli, bo jestem strasznym leniwcem, i nie mogę się zdobyć na to, aby regularnie co dzień zapisywać choć kartkę w dzienniku moim. Dzisiaj przemógłszy ospałość i wrodzony nieporządek, zasiadam znowu do pisania, ale przedzielony niemałym już czasem od Montorellskiej wycieczki, nie chce mi się stare wywoływać mary z pamięci, bo odświeżone wrażenia nigdy nie są dobre, choćby oblewano je najwykwintniejszą wymową. Otóż wolę notować świeże wspomnienia, póki jeszcze czyste, owe zaś ostygłe więcej na stół nie wrócą. Zaczynam więc nareszcie.

Przedwczoraj poszliśmy się kąpać do jeziora Dyany, ja i brat Leon. W drodze, jak zwykle między dwoma, zaczęła się pogadanka, poważniejsza rozmowa. Nagle zwróciła się rozmowa do tęczy. Nie mówiliśmy zaś o tęczy w ogóle, o jej istocie i prawach optycznych, lecz o jednej tylko, dobrze wszystkim znanej. Nie zajmował nas wcale rodzaj tęczy i odgadywana jakaś o niej teorya, lecz wspomnieliśmy skromniutenko o jednej tylko, która się niegdyś ukazała przed

wiekami. Zapewne odgadłeś już czytelniku o czem mowa, choć przyznam Ci się otwarcie, że nie dla Ciebie ja piszę; czytujesz tęczę, którą położył niegdyś Pan Bóg na znak przymierza swego. Właśnie o tę chodziło nam tęczę, nie o żadne inne, ale o wszystkie pospołem. Powodem zaś do obrania tak szczególnego do potoczney rozmowy przedmiotu, była dysputa, którą mieliśmy kilka dni dawniej z jednym z braci. Twierdzono, czy po potopie tęcza ukazała się po raz pierwszy, czy też była przyrodzonem, dawno już znanem zjawiskiem. Wtedy na rozwiązanie tak trudnej a wiarą nie popartej kwestyi, przytaczano rozmaite komentatorów zdania. Jedni bowiem przypuszczają podobno, że aż do potopu wcale nie padało, że zatem tęcza nie miała żadnego powodu istnienia; inni natomiast uporczywie dowodzą, że wtenczas dopiero stworzona umyślnie przez Boga, po raz pierwszy ukazała się na niebie. Trzecie także zjawiło się zdanie, najmniej się podobające, bo najrozsądniejsze, gdyż pragnęło fizyczny i podług praw natury konieczny fenomenu początek ~~pogodzić~~ zgodzić z nadprzyrodzonem znaczeniem, wtedy jemu wyjątkowo nadanem: Pan Bóg obrał zjawisko, istniejące od stworzenia świata i wynikające koniecznie z praw optycznych, tłumaczem myśli swojej i w tym celu nadał mu wyjątkowo jaśniejszy może blask i wspanialsze, niż zwykle, wymiary.

Otóż przypomnieliśmy sobie te rozmaite sprzeczne między sobą mniemania i zgodziliśmy się z towarzyszem moim na jedno: że tęcza istniała od stworzenia świata, i że służyła wtedy jako znak, mający objawić i wytłumaczyć wolę Najwyższego. Wtedy jednak zachodzi pytanie, dla czego właśnie tęczę, lubo dobrze już znaną, obrał Pan Bóg wyrazem swego przymierza? czemu nie użył znaku innego nowego lub niezwykłego. Wtedy towarzysz mój rzecz całą tak mniej więcej wyjaśnił:

Białego światła słonecznego, choć wśród niego i przez nie tylko żyjemy, nie

widziny, (ani) nie mamy o niem dokładnego, przystępnego wyobrażenia. Nie rozumiemy nań dokładnie tego, czego nie zdołamy postawić sobie przed zmysły, wyobleć w ~~formę~~ jakąś (jednem słowem) uzmysłowić. Uzmysłowieniem jasnego, białego światła słonecznego jest łamanie się jego w pryzmacie; póki promień całość w sobie zawartą, nie wiemy co w nim się mieści, nie potrafimy tego wydobyć na zewnątrz, dopiero gdy się łamie w siedmiorakie kolory, występują na zewnątrz wszystkie wnętrza jego tajniki. Żeby mógł wejrzeć, czem promień słoneczny w istocie swojej, potrzeba na to tęczy: ona roztacza z wdzięktiem wszystko to, co wstydliwy promień szczelnie w sobie zamyka.

A gdzie powstaje tęcza? W kropli wody. A na jakiem tle? Na chmurach wśród burzy. Zastosujmy to do tęczy, którą położył Pan Bóg na niebie po potopie. Przyobiecał pokój po burzy, ale burza przyjść miała i przegrzmieć przez dzieje ludzkości; na jej końcu pokój, bo odkupiciel.

Genzano 28. września.

Prowadzę dalej przerwaną rzecz o tęczy. Podobieństwo między nią a Zbawicielem jest dziwnej ścisłości, sięgającej nawet w najmniejszych szczegółach. Syn Boży objawił nam te wszystkie, nieskończone przymioty, których w samym Bogu uchwycić daleko trudniej, prawie niepodobna. Jasny promień słońca razi nas swoją błyszczącą prostotą, nie możemy go ani objąć dokładnie ani wniknąć do jego wnętrza. Dopiero gdy się rozłamie w wielobarwną grę tęczy, dopiero wtedy widzimy wszystkie pierwiastki, które się w nim mieszczą. Czem tęcza dla białego światła słonecznego, tem Syn Boży dla jedności boskich przymiotów: przed nim wszystko było zamknięte, teraz wszystko stoi otworem. Matka tęczy jest kropla, sama czysta i przezroczysta, choć córka burzy i zmąconej wody, tak i Marya, przeczysta Dziewica, matka Chrystusa, choć zrodzona w świecie pełnym brudów i zepsucia. Naczelnie tęcza tylko

wśród chmur się ukazuje, tam, gdzie one nieco rzadsze na chmury, podczas gdy słońce za nami – Chrystus także ukazuje się pochmurnem na tle dziejowej burzy, bo świat starożytny dobiegł był kresu swego – widzimy go ciemne na tle dziejowem, bo jego oblicze tło dla nas śmiertelników niedojrzalne.

Genzano 3. października.

Dzisiaj rano, jak zwykle w sobotę, byliśmy wszyscy u spowiedzi. Czuję przy każdej spowiedzi, a mam ich już z dziesiątek za sobą, od czasu przyjazdu do Genzano, że wyzbywam się nieco zewnątrz jestestwa mego, jak to dotąd przebywałem zawsze zewnątrz niego. Ale to jeszcze nic, to tylko słabe początki. Oby Bóg dozwolił młodzieńczej, delikatnej roślinie która zaczyna po ciężkiej jego urodzić, oby dozwolił jej wyrosnąć w kłosy, które kiedyś napełnić się ziarnem. Ale to kiedyż? czy nastąpi kiedy? Jestem tak nikczemny i mały, przytem żadnego we mnie nie ma uczucia, żyłem głową, kochałem głową, a nawet i tem nie to było wymien, co zwykle głową nazywamy, nie rozumem żyłem, jak mógłby kto powiedzieć inaczej fałszywie, nie bynajmniej, żyłem nie wcale rozumem, a w większej połowie czem? mglistą, mętną wyobraźnią. Nigdzie nic całego, wykończonego, wszystko połowiczne, chwiejne, nieokreślone, płynne. A tu już trzydziesty rok się zbliża! Że nic nie zrobiłem dotąd, aż nadto to rozumiem. Bo i czego robić. Żeby coś zrobić, potrzeba na to narzędzia, a tego nie wyrobiłem sobie; potrzeba dalej materyał, a tego nie zebrałem. Słowem ani ręki nie ćwiczyłem ani nie nabyłem metody ani nie wyrobiłem żadnej władzy mojej – a dał mi ich był Bóg nie mało. Cóż z nich pozostało. Pomiędzy zwrot gnuśny, przyrodzony, zmarnowałem je dobrowolnie, już to nie rozwijając ich wcale już to rozwinięte wielkiemi niemocy sposobami. Z wszystkich władz, jakie niegdyś wyliczano, chwalono w dzieciństwie, nie pozostała ani jedna, która by była

podniesiona od jakiejś pierwotnej potęgi. I na to marnowałem lata po niemieckich uniwersytetach? Na to czytałem mnóstwo rzeczy? na to zeszło tyle Dysput, tyle katolickich i dumnych a odgrażających się światu rozmów i kłótni przy kieliszku lub na spacerze?

Otóż z tego wszystkiego, z tych wielkich nadziei i szumnych zapowiedzi nie zostało nic urzeczywistnione. Lata przeszły a ja jakby co dopiero puszczony z paska chodzić nie umiem. Chyba cudem tego się nauczę. Dla Ciebie, mój Boże, drobnostka jest, zrobić cud taki – ale dla czego miałbyś go uczynić? Pytam się dla czego? Czy przez trzydzieści lat życia choć dosyć myślałem o Tobie, czy choć raz na serjo w Tobie się zagłębiłem? Obsypywałeś mnie łaskami jakże je przyjmowałem? Gardząc, depcząc, rozmieniając na drobną walutę. A za to wszystko, za trzydziestoletni szereg błędów, przestępstw i obrazy nieustannych domagam się, niby w nagrodę, niby na uznanie, cudu. Dziwna bezczelność. Bo to nie przeczy rzeczy? potrzeba w istocie cudu, abym doszedł do jakiejś takiej duchowej równowagi i został jeszcze na stare lata przyzwoitym człowiekiem. Nazywam cudem odnowienie się gruntu. Takie odnowienie się powinno nastąpić we mnie. Umysł mój pełen błędów, serce pełne chwastów lub ostu, wola pokurczona, ubezwładniona. Potrzeba nowego rozumu, nowego serca, nowej woli. Czyż to nie to samo, co narodzić się raz jeszcze? Dziwne te moje pretensje do P. Boga. Ale bądź jak bądź, potrzeba mi tego koniecznie, tego cudu, bez niego istnieć nie mogę. Ostatni połysk na świecie staje się nieznośnym. Tyle głupstw w moim rozumie, tyle samolubstwa w moim sercu, tyle słabości w mojej woli. Z tem żyć nie sposób. Bo i jakże żyć. Żyć można tylko z jasnym rozumem, uczciwym sercem, dobrą wolą, wszelkie inne życie śmiercią jest; życie bez tych skarbów zamienia się w ni-

sfoni i niebyt. Dlatego wołam o nią teraz i wołać nie przestanę, a mam mocną ufność, że Najwyższy da się przebłagać. Nadzwyczajną też ufność kładę w opiekę N. Panny, która od wielu lat mnie sieroty nie opuściła, nawet w chwilach, gdzie na jej łaski nie zasługiwałem wcale. Prawda, że i teraz nie zasługuję. Ale nie przestanę wołać do niej, nie przestanę zapytywać się, aż się nie zwróci do mnie, aż mnie nie wysłucha, aż mi nie wyprosi tego, o co błagam.

Najskuteczniejszym do tego środkiem mogą i powinny być rekolekcje tygodniowe, które dzisiaj zaczęliśmy pod dyrekcją dobrego O. Piotra. Bo jeśli rekolekcje nawet dla najświętszych były niezbędnemi, cóż mówić dla mnie, któremu nie jak innym pokrzepienie dać mają po krótkiem i małem znużeniu, lecz całkowite zdrowie po długotrwałej, śmiertelnej chorobie. Czy rekolekcje dokażą na mnie tego cudu? Nic nie wiem, chociaż mam wielką, mocną ufność w dobroci Najwyższego! Bo czemuż rekolekcja?

Ludzie najświętsi nie zdołają utrzymać się bez przerwy na stopniu ~~[illegible]~~, na który wywyższyła ich łaska Najwyższego. Ludzka natura ułomną jest, [illegible], dziurawa i pełna szczelin, przez które ucieka łaska Boska. Każdy człowiek jest naczyniem, które ma się napełnić Duchem Bożym, ale nawet w najdoskonalszych, najświętszych, naczynie to czy lekko pęknięte czy z masy porystej, dozwala treści wysiąkać (wysączyć), uciekać niezmiernie. Albo żelazo, które długo leżało w ogniu, wyjęte na powrót, świeci się czerwonym ~~[illegible]~~ żarem, ale siły blask stale niezmiennie, gaśnie, znika zupełnie. Prawo to, znane w fizyce dokładnie, pod nazwą wypromieniowania światła lub ciepła, opiewające, że każde ciało, czy to rozżarzone czy rozgrzane do pewnego stopnia, potem przez wolne wychodzenie, ubywanie z niego całe swoje ciepło i światło utraci — prawo to także w świecie moralnym, nadprzyrodzonym, w daleko większych panuje rozmiarach. —

Łaska wyprawia nas na świat gorącymi i jasnymi. Ale tylko na krótki czas zdoła się w nas przechować. Coraz więcej jej ubywa, aż na koniec same nasze pozostanie ciało, a wiadomo, czem ciało nasze bez łaski: grzechem, pożądliwością, niczem więcej. I cóż w tem dziwnego? Owszem dziwnem byłoby, gdyby się nie miała inaczej. Potrzeba więc od czasu do czasu napełniać na nowo łaską Bożą wypróżniające się wnętrze ducha naszego. Ale rozłóżmy tę potrzebę w jej szczegóły:

Świat przygniata nas pojęciami rozumu, ale to stan błędów, głupstw, niedorzeczności. Przynosimy wprawdzie ze sobą jasne, od Boga nam dane pojęcia, mamy dokładną o Bogu ideę, ale dziwna rzecz, będąc wrzuceni w jakieś stosunki myślne, już Bóg nam się zaciemnia. Tyle ze świata zrasta się mgły, chmur, nieczystości, iż po pewnym czasie już nie widzi czystego, prawdziwego obrazu Bóstwa, lecz obraz w dziwny sposób odmieniony. Potrzeba więc rekolekcyj, aby odzyskać prawdziwą ideę, dokładny obraz bóstwa, mianowicie, że obraz ten ~~ma dać~~ mógł i kamieńcem przebierać wszystkich innych pojęć naszych.

To samo powiemy o sercu naszem. Uczucia nasze są ciągle wprowadzone. Skoro z światem dorównamy, uczuciami jesteśmy w rzędzie wszystkich jego. Od tego wzbudza nas łaska Boża, ale na niedługo, jeśli sami sobie jesteśmy zostawieni. Potrzeba więc rekolekcyj, aby uczucia nasze oderwać od świata, a natchnąć Bogiem.

Nareszcie wola nasza jest zła, słaba, niedołężna, chyba do złego; sama z siebie nic dobrego zrobić nie może, potrzeba koniecznie, aby Bóg w niej działał. Ale na to znowu potrzeba rekolekcyj, aby zapomnieć o świecie i jego pobudkach, aby zapomnieć o sobie, a połączyć naszą wolę z wolą Boga, zlać ją w jedno.

I tak widzimy, że wszystkie trzy duchowe jestestwa naszego władze równo są zagrożone, przez ciągłe oddalanie się od Boga — wtedy we wszystkich

trzech razy do serca stanę nieprzyjaciel nasz, stary człowiek, nasze ja, które o sobie myśli, dla siebie i przez siebie działa, siebie kocha – bo w nim obok Boga istnieć nie może. Żeby to ja unicestwić, potrzeba od czasu do czasu silniej niż wszystkie potęgi się z Bogiem, aby nowe odzyskać siły, tak jak oddychać przerwać nie ustajemy, bez ciągle nowe w płuca nasze wciągamy cząsteczki powietrza. Zróbmy to z Bogiem, a do tego najdzielniejszym, najpewniejszym środkiem jedynie są rekolekcje.

Jeszcze 4 października (dzień ś. Franciszka z Asyżu i N. Panny Różańcowej, jako pierwszej niedzieli po miesiącu) rano o 6 tej godz.

Sam Chrystus powiedział, że P. Bóg sieje, bezustannie sieje słowo swoje, a słowa jego spadają świętym deszczem na serca nasze. Niestety, nie we wszystkich sercach grunt taki sam, a więc i rezultat siewby bywa rozmaity. A jednak powinien być wszędzie ten sam. Jedne z serc tak położone, że nasienie wystawionem jest co chwila na zgubę: albo uniestworić, jak stado dzikich ptaków spadają hurmem na nie i zjadają wszystko, albo też przechodnie, złemi radami a gorszym jeszcze przykładem stratują je bezlitośnie, z uśmiechem szyderstwa na ustach. A wiele znowu serc nie ma nic prócz ziemi urodzajnej, same tam skała, gdzie niekiedy, obrzmiewa grunt nieprzebyty. Cóż dziwnego, że nasienie nie może zapuścić korzeni, a gdy je nawet wypuści, nie potrafi się utrzymać, bo więdnie na opór napotyka.

9 godzina z rana.

W porządku przyrodzonym, gdy chcemy rzecz jakąś poznać, powinniśmy najpierw uważać jej początek, jej przyczynę bytu. Bez tego poznanie ona dla nas niezrozumianą zagadką. Poznawać przyczyny wszech rzeczy i stwarzając rzecz każdą z ostatniej jej przyczyny, jest najwyższym stopniem ludzkiej mądrości. Starożytni mawiali słusznie: beatus qui rerum potuit cognoscere causas.

O ile ważniejszem będzie to same prawo w porządku nadprzyrodzonym. Jeżeli bez niego w mądrości ludzkiej ani kroku naprzód ~~[illegible]~~ postąpić nie podobna, to w świecie nadprzyrodzonym, gdzie nie o jakieś obrzędy lub podręczne chodzi teorye, lecz o cały byt ~~[illegible]~~ nasz i całą przyszłość naszą, a przyszłość to bez końca, istnem byłoby szaleństwem, chcieć mówić coś bez przytomności tego prawa.

Zapytajmy się więc o początek nasz, o koniec nasz, i o drogę, która wiedzie do tego końca naszego. Pytanie to zamyka w sobie tajemnicę stworzenia. Powinniśmy od niej zacząć, gdyż ona jakoby podwaliną całego duchowego gmachu, który wznieść zamierzamy w sercu naszem, ona piedestałem, na którym postawić mamy posąg doskonałości naszej. Bez poznania tej kwestyi ani kroku uczynić naprzód nie podobna. Ale kwestya stworzenia jest zarazem kwestyą miłości; istota miłości stanowi nam powód i cel stworzenia.

Bóg jest miłością, mówi gdzieś Jan ś. Bóg jest przedewszystkiem miłością. Ale nie sposób miłości pomyśleć bez przedmiotu miłości. Gdzie jest kochający, tam powinien być i kochany. Bóg kocha niezmiernie, nieskończenie, ale kogo? Siebie, bo gdzież przedmiot godny miłości Bożej, jeżeli nie sam Bóg. Ale miłość rodzi, działa bezustannie; Bóg rodzi przedmiot miłości swojej; i Bóg miłujący rodzi Boga ~~[illegible]~~ miłowanego, a tym miłowanym Bogiem jest Syn Jego Zrodzony. Ale wielka miłość jest wspólną. Podmiot miłujący powinien być i przedmiotem a przedmiot podmiotem – oba są sobie równe w miłości; miłość Ojca spotyka się z miłością Syna, bo miłość Syna wraca do Ojca, i w tem zetknięciu się dochodzą obie miłości do równowagi, do zjednoczenia, a jedność dwóch tych miłości jest miłość trzecia, Duch Ś. – I tak jest Bóg miłością, przedewszystkiem miłością, cała istota jego jest jedną wielką miłością.

Ale w tej miłości Bożej zamknięta tajemnica naszego stworzenia. Bóg nie

od wieków, że jego miłość może się wylać dalej, że może nawet po za granicę Bóstwa przejść do istot i z istot uczynić jestestwa, zdolne do kochania Go, zdolne do zapłonienia miłością ku Niemu. Otóż Bóg widział naprzód, że za jego rozkazem mogą się wyłonić z nicości iskierki, które rozgorzawszy płomieniem, mogą się odpłacić miłością za miłość odebraną. Bóg to widział, i zanim zezwolił na powstanie z niczego tych płomyków miłosnych, już je ukochał wszystkie – Bóg kocha nas i kochał, zanim byliśmy. Diligamus Deum, quia prior dilexit nos. W tem cała tajemnica stworzenia. Bóg stworzył nas z miłości, prior dilexit nos.

Ale w tem i cały koniec nasz. Bo za miłość powinniśmy się odpłacić miłością. Takie budzi uczucie, pewność, że nas ktoś kocha. Takie wylewa jestestwa dla tej osoby, jak gotowi do oddania się jej na zawsze. A tu miłośnikiem sam Pan Bóg. Czyż można ~~sob~~ wyższego pomyśleć szczęścia? Szczęście to tak wielkie i tak niezasłużone, że wypowiedzenie uczucia tego odwodzi od szczęścia, daje zawrotu głowy. Sama myśl, że Bóg nas kocha od wieków. A czyż ja mu oddałem za to. Dotąd nie. Nie kochałem go nigdy. Zwracałem się do niego czasem, ale pełen samolubstwa. Niby go kochałem, bo dobry, bo mądry, bo wszechmocny, przywiązałem się bowiem, że z tych niezliczonych przymiotów jego spadnie okruszyna na mnie i będzie mi z tem dobrze. Nędznem byłem pustem stworzeniem. Bóg mnie kocha! Oczywiście nie dla przymiotów moich, bo jestem ograniczony, fizycznie i duchowo ubogi, bez woli, bez serca – a jednak Bóg mnie kocha. Miłość nigdy nie pyta, dla czego. A ja za nieograniczoną, bezwarunkową miłość odpłacałem się obrachowaną miłością, skąpstwem, oziębłością, pełnem zastrzeżeń – byleby nie za nadto. Powinienem Boga tak kochać, jak On mnie kocha, o ile na to zezwolą skąpe siły moje. Nie ~~powinien~~ mam Go kochać dla innych widoków, które dla mnie korzyścią stać się mogą korzyścią, bez

mam Go kochać bezwarunkowo, dla niego, dla miłości. Życie moje jest owocem miłości Bożej, jestem, bo Bóg mnie kocha; gdyby mnie nie kochał, byłbym nicością, Jego miłość wydobyła mnie z nicestwa i posłała na ziemię. Otóż tam, gdzie początek, tam i koniec mój. Wszak nasienie z drzewa spada na ziemię, bo stamtąd wyrosło. Jestem płodem miłości, powinienem wracać do gruntu, z którego wyrosłem. Bóg mnie ukochał, a więc niech i ja Go ukocham, bez granic, bez warunków. Diligamus Deum, quia prior dilexit nos.

Znajdziemy nam początek drogi naszej, znajdziemy i koniec; z łatwością przyjdzie drogę samą oznaczyć. Drogą jedyną do miłości jest poświęcenie. Kto kocha szczerze, poświęca się. Ukochać Boga jest pierwszym aktem naszym. Ukochawszy Go powinniśmy mu służyć przez całą doczesną pielgrzymkę naszą. Obracamy się w warunkach czasu i przestrzeni, nasze akty nie mogą być bezustanne jak akt Boży, bo odrywają się szeregiem aktów poszczególnych. Każdy akt taki powinien być służbą, ofiarą. Ofiarujmy się Bogu bezustannie ale w uprzejmości, bez skąpstwa. Mamy kochać Boga swego, to znaczy, Boga który jest naszym, który nam się oddał, bo ukochał nas, mamy Go kochać z całego serca, z całej duszy, z całej myśli naszej i z wszystkich sił naszych, t.j. mamy Mu oddać jego własność wszystko, całe nasze jestestwo, całą naszą wolę.

Oddajemy mało, a otrzymujemy wiele w zamian. Naszą wolę i całą wolę oddajemy, a otrzymamy wolę Boga. Ta wola [tego] wypełnia nas, naszą nicość ~~[illegible]~~ mizerię wypełnia, karmi nas — pokarmem moim jest czynić wolę Tego, który mnie posłał. Gdyby ludzie chcieli zrozumieć dogmat miłości, jakżeby byli szczęśliwi, ale mało kto na to się zdobywa. Mój Boże żyłem tyle lat nie kochając Ciebie, a dzisiaj ledwo pojmuję otwieram, ledwie do brzegu dochodzę wielkiej, niepojętej tajemnicy. Czyż kiedy ją zgłębię? Twoi uczniowie, mój

Boże, bo bez Ciebie nic uczynić nie potrafię, a tem mniej, kochać Ciebie, ja, który nigdy nie czułem żadnej w sobie miłości. Ale Ty jesteś miłosierny, mój Boże, Ty jesteś wszechmocny. Litość Twoja może skruszyć granit mego serca i zamienić go w urodzajną glebę, uczyń to jak najprędzej; mój Boże.

1sza godzina po południu.

„Mam więc służyć Bogu! mam pełnić służbę miłości. Ale to rzecz nie łatwa. Gdybym żył sam, z Bogiem, a prócz nas dwóch nic innego, byłaby służba moja łatwiejsza, ale na nieszczęście, Boże przebacz mi ten wyraz, bo Ty tak chciałeś, żyję w świecie, z którym wchodzę w stosunki. Żyję otoczony podobnemi do mnie stworzeniami. Jakże więc postawić się do nich? Tyle pewna, że mogą mi być wielką przeszkodą w służbie Bożej; czasem mogą być i pomocą. Powinienem więc postarać się o to, aby nie przeszkadzały mi nigdy, a pomagały, ile razy zechcę. Ale ~~żoły~~ takie rozkazy tylko pan daje. Potrzeba więc, aby zapanować nad stworzeniami.

Pan Bóg w nieograniczonej dobroci swojej pozwolił na to; rzekł do Adama, będziesz panował i ptakom niebieskim i ~~wodnym~~ rybom morza i zwierzętom lądu." W porządku fizycznym dzisiaj jeszcze człowiek panuje nad zwierzętami; ale słowa owe Boże sięgają znacznie głębiej, sięgając poza sferę przyrodzoną.

Zwierzęta owe, nad któremi Pan Bóg oddał panowanie Adamowi, mieszkały w raju. Dzisiaj raju nie ma. Serce nasze było niegdyś rajem, dzisiaj nim nie jest. Raj zniknął; a została ziemia, przeklęta w pracy. Serce nasze zamieniło się w grunt dziki, zarośnięty, okryty chwastami i ostem. A izba gościnna ta zaludniona zwierzętami. Jak zwierzęta przyrody w trzech oddzielnych mieszkają dzielnicach, tak i państwo nasze, na trzy podzielone krainy, w każdej ma swoich mieszkańców. Wnętrze nasze czyli serce, nie stałe jest, przechodząc się z jednego stanu w drugi, z jednej formy w formę drugą, jak woda. Serce nasze jest niby morzem,

a po niej bujają najrozmaitsze uczucia, jak ryby i rybki igrają w wodzie przejrzystej. Nad wodą wznosi się powietrze, wznosi się daleko, w niedostępne wyżyny. Jest to myślenie nasze, duch nasz i rozum, który jak firmament niebieski rozpostarty nad nie [illegible] dozwala ptakom zaludniającym go bujać wysoko, wznieść się tak wysoko, że oko nasze zmysłowe nie może podążyć za ich górnym lotem. Ptakami temi są myśli nasze. Niżej od powietrza a wyżej ponad wodą jest stały grunt ~~[illegible]~~ woli naszej, niemniej twarda naszych zamiarów, czynów, interesów. I tam są mieszkańcy i owe zamiary, od nas wychodzące, a przybrane w najrozmaitsze kształty.

Życie nasze obraca się w tych trzech dziedzinach, odpowiednio prawu, do którego całe życie powinno być zastosowane. Mówiliśmy, że świat stworzony ~~albo~~ przeszkodą dla nas albo pomocą, że trzeba nad nim panować, zawsze go mieć na pamiętaniu a nigdy mu nie być poddanym. Ale świat stworzony, zewnętrzny, wrażony z każdą z treści działań naszego jestestwa i wpływa na uczucia nasze, obudza je, porywa je, porusza je, stworzony, związany ściśle z całem naszem. Ten sam świat i do umysłu naszego się wkrada, nasze myśli i marzenia najczęściej koło niego wiją; niemniej też świat staje się przedmiotem naszej woli, wypychającej go dla nas, bo w działaniu, w dziejach woli, zawsze nasze ją ostatnią, najwyższą pobudką. Żeby więc se-parować od świata zewnętrznego, potrzeba wprzód podbić świat wewnętrzny, trzeba wytępić owe dzikie, drapieżne istoty, które jak to jako [illegible], jako plugawe robactwo zatruwają czystą wodę serca, jak to jakie sowy i kruki krążą ~~[illegible]~~ w ciemnościach umysłu naszego, jak to jak drapieżne, krwiożercze zwierzęta zaludniają grunt woli. Ogół ludzi im poddany, każdy niewolnikiem serca, uczuć zmysłowych, dozwolonych i zbrodniczych, słabości, nałogów (np. gry, pijaństwa, palenia tytoniu) i t. d. Albo też niewolnikami jesteśmy

naszej myśli uczuciami; wyobraźnię myśli, obawy powstają w nas, porywają nas i prowadzą nas gdzie chcą. Naczelnie na szkodę woli naszej, wbrew ja, robimy wszystko ze względu na ~~innych~~ nas, wypisany kiedy z nich, chcemy ich przykład do siebie, czy zewnątrz czy wewnątrz, chcemy ich przytłoczyć.

Otóż prawo ogólne tak brzmi: tylko wolny służyć może P. Bogu, niewolników Bóg do służby nie przyjmuje. W pierwszych dwóch dziedzinach jesteśmy niewolnikami uczuć i myśli, to źle i być nie powinno, nawet dozwolonych uczuć przyjmować, niewolnikiem być nie można. W trzeciej dziedzinie, najstraszniejszej, jesteśmy niewolnikami naszego własnego ja. Mój Boże służyłem wszystkim trzem dziedzinom naraz, o Tobie nie myśląc wcale, a teraz zapytuję jestem niewolnikiem. Przez tyle lat, prawie 20, byłem niewolnikiem najbrudniejszych uczuć, najpodlejszej wyobraźni, najbezbożniejszych myśli, a przede wszystkiem własnego złego mego ja. Mój Boże, stworzyłeś mnie wolnym, rozerwałeś pęta moje, niech nigdy nie popadnę w tę niewolę, niech będę niewolnikiem, ale Twoim, miłości Twojej. Przecież tak wielka jest tajemnica miłości Twojej, że służyć Ci nie można, nie będąc wolnym. Dla tego stworzyłeś mnie wolnym, mój Boże, bo tylko wolnych przyjmujesz do służby Twojej. A ja co zrobiłem z tą wolnością moją? Zmarnowałem ją, jak Ezaw swoje pierworodztwo, za miskę marnej strawy. Mój Boże, czy można sobie coś okropniejszego pomyśleć.

Bo i co to znaczy, oddać się w niewolę? Poświęcić istotę moją, jej punkt środkowy na istotę drugą, przestać być sobą, a żyć tylko w drugiej ~~woli~~ istocie, dla niej i przez nią. Jest to uznać siebie niczem a ową istotę wszechmogącym Bogiem. A czynimy to, nie z konieczności, lecz z własnej woli, umyślnie. Bóg nas stworzył wolnymi na to, abyśmy przez samodzielny akt naszej woli, bez przymusu i bez zapomnienia się, poświęcili tę wolność naszą Jego miłości, abyśmy nasze wolne karki zgięli dobrowolnie pod słodkie jarzmo Jego służby. A ja?

Tak gdyby Boga nie było i jak gdyby wolność moja do mnie należała i ode mnie pochodziła, rozporządziłem nią bez Niego i wbrew Jego woli. To co mi dane było, aby módz służyć Jemu, obróciłem na obcy pożytek, na wzbogacenie kogoś innego. A kim był ten, którego wzbogaciłem? Marne stworzenia, znikome dzieło rąk Jego. Im to służyłem. To mało, że one były mi Bogiem, zamiast Niego. Czyż można okropniejszą pomyśleć zbrodnię.

Przez tyle lat, zaczynam rachubę moją od siódmego, a teraz zacząłem już rok trzydziesty, nie myślałem prawie nigdy o Bogu, nie wiedziałem, co to jest kochać Go, co to służyć Jemu i Jego wolę przyjąć w miejsce własnej woli. Nie wiedziałem tego, bo wiedzieć nie chciałem. A równocześnie żyłem w najokropniejszej niewoli. Serce moje pogrążone było w najohydniejszej rozpuście, myśl moja albo w najsprośniejszych obrazach albo też najpotworniejszych błędach; nareszcie wola moja prowadziła do mnie, do mego ja, pamiętająca o mnie a nigdy o innych. Oto moja spowiedź. Tak żyłem lat, przeszło dwadzieścia. A Ty co na to, mój Boże. Milczałeś wspaniałomyślnie, obsypywałeś mnie bezustannie Twemi dobrodziejstwy. A na koniec, gdyś widział, że nie ustaję w nadużywaniu dobroci Twojej, w lekceważeniu Ciebie a służeniu światu, wtedy niesłychany dałeś mi dowód miłości Twojej nieograniczonej, bo przemocą wyrwałeś mnie z kałuży brudów i kłamstw, i przeniosłeś, wbrew woli mojej, do cichej oazy, gdzie znowu dozwoliłeś mi świat rozpoznać i dałeś mi możebność naprawienia wszystkiego, co dotąd przewiniłem. Chociaż tyle przewinień, tyle, że dni moje za krótkie, aby zmazać je łzami.

A ja opierałem się dobroci Twojej i niechętnie szedłem za Twoją ręką, chociaż już wtedy wewnętrzny głos mnie ostrzegał, że wszystko, co robisz dla mnie, dobrem jest. Dziś widzę wyraźnie, że mnie przemocą przyciągnąłeś do siebie. Takie

Ci dziękować mój Boże, jakże Cię nie kochać, jakże nie oddać się Tobie zupełnie?

Ale jakże oddać się Tobie? Nie można Tobie służyć, nie oddawszy się Tobie, a jakże oddać Ci to, co jest z istoty swojej brudném, złém, skażoném zupełnie. Jakże oddać Ci rzecz tak nikczemną? Wszakże sam akt oddania jest już aktem nadprzyrodzonym, wznoszącym się nad sferę życia fizycznego. A wiadomo, że żadnych aktów nadprzyrodzonych, od czasów upadku Adama, nie możemy dokonać bez Ciebie. Tylko Ty możesz tego dokazać, tylko Ty możesz dać nam łaskę takich aktów, tylko Ty możesz naturę naszą oczyścić do tego stopnia, że stanie się godna Ciebie ofiarą. Ale żebyś Ty mógł uczynić, potrzebna jest zgoda uprzednio moja, która przerasta naturę, i tego znowu bez Ciebie i bez łaski Twojej uczynić nie potrafię.

Potrzeba mi przedewszystkiem wyrzec się własnej woli, potrzeba, abym zapominał, że jestem czemś a przekonał się, że w istocie jestem obrzydliwą nicością. Wyrwij mi Boże, wytęp wolę moję, a w jej miejsce połóż wolę Twoję; wytęp dumę moję, a daj mi pokorę, dziecinną, nieograniczoną, abym się bezustannie czuł niczem i wobec Ciebie i wobec stworzeń Twoich. Nareszcie mój Boże, wygub we mnie złość moję, moje samolubstwo, które sprawia, że tylko o sobie myślę a nigdy o innych, a w zamian za nie daj mi dobroć nieskończenie słodką, przytulającą wszystkich do łona mego. O wysłuchaj mnie, Boże, wysłuchaj. —

9ta godzina z wieczora.

Mam Ci służyć, mam się oddać Tobie! O sposobie jedynym, urzeczywistnienia tej służby, sam wyrzekłeś, mój Panie, sam go podałeś, gdy przybrawszy ludzką naturę stąpałeś po równinach Galilei. A odpowiedź Twoja tak dobitna, tak nieubłaganie jasna, że nie pozostawia żadnej wątpliwości, że odtąd wszystko albo za nią oświadczyć się musi, albo przeciw niej. Dla kompromisu zaś ani najmniejszej nie pozostawiono furtki. Odpowiedź Chrystusa znaną jest. Gdy bogaty mło-

dzieniec wskazującemu na zakon Chrystusowi oświadczył, że wypełnia wszystkie prawa, wtedy Chrystus naprzód wejrzał i ukochał go"; tylko na wybrane dusze pada taki wzrok miłosny, powołujący do nowego, wyższego życia. A wejrzeniu, zadatkowi nowej, nieodgadnionej, niepojętej miłości, towarzyszy odpowiedź: Jeżeli chcesz być doskonałym, sprzedaj majątek, rozdaj go ubogim, przyjdź do mnie i idź za mną. Wiadomo, że ~~rada~~ wydała się młodzieńcowi zbyt mową, zbyt trudną do wykonania, i że odszedł smutnie. Chrystus jednak nie zmienił rady swojej, nie złagodził jej, lecz pozostawił ją w całej swojej szorstkiej formie, a nawet zaraz po odejściu młodzieńca, wobec apostołów dobitnie ją potwierdził.

Wszystko co nasze, mamy rozdać, nie tylko majątek, ~~ale~~ lecz wszystko, nie tylko pieniądze, lecz wszystkie skarby duchowe: wszystko to mamy oddać ubogim, t.j. ludziom świata, dla samych siebie nic nie zachowawszy. Nic nie mamy zachować: żadnej rzeczy, żadnej pociechy, żadnej woli – we wszystkich trzech dziedzinach istnienia ludzkiej natury mamy zarówno być ubogimi, nic nie posiadać, być lekkimi i swobodnymi jak ptaszęta niebieskie. Jest to pierwszy krok do doskonałości, i który go nie zrobi, nie dojdzie nigdy do doskonałości, a najczęściej raczej poprzestanie na pełnieniu obowiązków i przestrzeganiu praw. Można to nazwać doskonałością pewną, ale to chyba doskonałość ujemna. Większość musi na niej poprzestać życie całe, bo mało komu dane jest zrozumieć słowo i podnieść się do wyższej sfery. Ale ci, którym to dano jest, ci którym dał P. Bóg pragnienie, powołanie, powinni iść za głosem jego bezzwłocznie, bez warunków. Wtedy pierwszym będzie krokiem wyrzeczenie się tego, co mają, jest to przygotowanie do służby, potem następuje służba sama: sequere me. Słowo dziwnie trafne i myśl całą jednym prostym wyrazem oddające: wyrzekłszy się woli własnej mamy iść za Chrystusem, tam gdzie on idzie, nie zbaczając ani w prawo

ani w celu. Gdy to uczynimy, dojdziemy do zupełnego zlania się z Chrystusem, a wtedy radość nieskończona.

Ale cóż ja powiem, biedny, nieszczęśliwy, który dawniej ani w najmniejszej nawet nie byłem perfekcyi? A teraz zabieram się nagle do doskonałości? Czy wypełniłem pierwszy, niezbędny warunek? czy oddałem wszystko? Zdaje mi się, że nie – moje myśli, moje samodzielne zdania, mój majątek duchowy zachowałem w zupełności. Ciągle noszę się z planami, ciągle myślę o sławie, jaką osięgnę przez ukończenie tej lub owej pracy. Mój Boże, wylecz mnie z tego głupstwa, pokaż mi, że prócz Ciebie nic nie jest godnem miłości, nawet nie jest godnem jednego spojrzenia. A jeżeli zasiądę kiedy do pracy, która nie wprost z Twojej strony postawiona, to ostrzeż mnie zawczasu, mój Boże, czy mam się jej podjąć czy ją porzucić. Niech nic nie robię bez woli Twojej, a we wszystkich dziełach moich niech nie szukam nigdy mojej, lecz Twojej sławy. Tak mi dopomóż, mój Boże, i Ty, N. Panno!

Genzano 5. października (9ta godzina z rana)

Miałem kochać Boga, a zamiast tego nienawidzę Go; zamiast służyć Mu, znieważam Go, nie zajmuję się Nim, tak jak gdyby Go wcale nie było. Bo czemże innem jest grzech, jeżeli nie zaprzeczeniem miłości? a jakie silniejsze miłości zaprzeczenie od nienawiści? Tak jest, mój Boże, nienawidziłem Cię, grzesząc, bo każdy grzech aktem nieprzyjaźni do Ciebie.

Prawie że najczęściej nie zdawałem sobie z tego jasnej sprawy. Bo i czemże grzech każdy? Przekroczeniem Bożego zakonu. A czemże zakon Boży? Miłością. Bóg dał Adamowi prawo, nie powodowany czem innem, jak miłością. Bo jeżeli Bóg stworzył człowieka z miłości, i na to, aby Go kochał, to musiał i przeszkody stworzyć, z któremi mocując się miłość nabrała by siły pewnej i stała się w istocie miłością. Miłości bowiem być nie może, bez poświęcenia. Do

przebywania zaś przeszkód onych, potrzeba hartu poświęcenia. Miłość zdobywając się na to poświęcenie staje się z możliwej, która była dotąd, rzeczywistą i prawdziwą.

Adam, wyszedłszy z rąk Stwórcy, miał wszystkie w sobie warunki miłości; ale nie miał jeszcze miłości gotowej; P. Bóg dał mu zdatność kochania, możebność wzniecania w sobie miłości, ale nie dał mu miłości czynnej, będącej już w akcie. Łatwo zrozumieć, dla czego nie dał. Każdy miłośnik jest miłości swojej niewolnikiem, a im dłużej kocha, tem głębiej popada w niewolę, ale niewola to dobrowolna, bo samodzielnie, w całej pełni samowiedzy swojej wskazał się na służbę miłosną. Innej miłości Bóg nie chce, przyjąć nie może.

Zrozumiejmy dobrze ten wyraz: niewolnik miłości. Gdyby człowiek w chwili stworzenia swego był już odebrał miłość gotową, byłby niewolnikiem tej miłości, byłby tak ściśle nią skrępowany, że mimo największych wysileń nie zdołał by się od niej uwolnić. Wtedy nie mógłby nic innego robić, jak służyć, ale służba to niewolnicza, nie będąc owocem samodzielnej decyzji, lecz z góry narzucona, bo przysądzona.

W podobny sposób jesteśmy dzisiaj niewolnikami jedzenia i spania, czyż mamy zasługę jaką, wypełniając tę funkcyę? Żadnej, bo musimy, bo nie możemy nie uczynić tego.

Dla tego dostała się Adamowi zaród miłości, ale nie miłość sama. Od niego zależało, ~~dozwolić~~ krzątać się koło miłosnego nasienia, dozwolić ~~mu~~ wyrosnąć w piękne, rozłożyste drzewo. Nie uczynił tego. Albowiem żadne nasienie nie rozwija się bez stosownych warunków: otóż czem dla ziemnego nasienia światło, ciepło i wilgoć, tem dla nasienia miłości owe przeszkody, które przezwyciężone zlewają na nasienie obfity zdrój dżdżu i ciepła i światła.

Jasna rzecz, że bez tych warunków nasienie ani kiełkować ani wyrosnąć

nie może, że mógł musiał dać te warunki, skoro dał uczucie. Ale tego daje Bóg zakaz; ten zakaz będzie przeszkodą, będzie skałą, o którą miłość albo rozmnoży się w samym zarodku albo też przeskoczywszy przeszkodę rozpłynie się w sposób nieczysty. Miłość Adamowa rozbiła się o tę przeszkodę. Zamiast ją zwalczyć, wolał porzucić miłość i stanąć po stronie przeszkody, zaprzeczyć miłości a zatwierdzić przeszkodę, która sama w sobie niczem nie będąc, staje się czemś rzeczywistem przez jego zatwierdzenie.

Albowiem przeszkoda owa, zakaz ów tylko pobudką, ale nie rzeczywistą przeszkodą. Przeszkoda w nas samych. Bo i czemże zakaz ów Boży. Ostrzeżenie pełne miłości, wskazujące na wszystkie zgubne następstwa. Pan Bóg ostrzega człowieka, jak rodzice ostrzegają dziecko przed niebezpieczeństwem. Przez to stanowisko chwila zostaje zbliżona, człowiek musi się zdecydować. Nie chodzi tak o następstwa, jak o decyzyą. Bo w tej decyzyi wszystko zawarte. Decyzya bowiem jest aktem woli. Chodzi teraz o to, czy akt ten odbędzie się na korzyść własnej woli, czy obcej. Miłośnik decydując się na miłość, zrzeka się woli własnej; całej woli swojej na to tylko używa, aby jej się zrzec – pierwszym i jedynym zamiarem aktem woli jego jest zrzeczenie się tej woli – ~~a pierwsze istnienie~~ wola jego istnieje tylko chwilę, wypowiada istnienie swoje przez samobójstwo, a ten początek jest zarazem jej końcem.

Ale czyż ja grzeszny człowiek chciałem kiedy własną zabić wolę. Czy stawawszy pod zakazem, pod prawem, zdobyłem się na akt posłuszeństwa a tem samem na umartwienie woli? Nigdy, o ile pamiętam. Zawsze pytałem się jak pierwsza niewiasta odpowiadała: Kto wie? może? zamiast przez akt posłuszeństwa rozpoczynałem przez zwątpienie, przez przypisywanie Bogu kłamstwa. Bóg wyraźnie oświadczył: gdy zjesz – umrzesz, a ja na to: Kto wie? może a może też nie? Czyż to nie

pragnę zrobić Boga kłamcą. Czyż to nie pragnę, chcieć zostać jakoby Bogiem? Bo ja sam chcę decydować o tem, co dobre a co złe? To tylko Bogu się przynależy. Ja więc, przywłaszczając sobie przymiot Boży, stawiam się na równi z Bogiem? Ja, co tylko przez niego istnieję, co tylko przez jego miłości stałem się z niczego czemś, nagle zapominam o tem, że tylko przez niego czemś jestem, i powiadam dumnie: ja jestem, który jest i jam początek i koniec, jam środek wszystkiego.

Wtedy Bóg, który stworzył mnie na to, abym go miłował, nie napotykając już we mnie miłości, lecz zobojętnienie, a co gorsza, otwartą rywalizację, dumne wyzywanie do boju, cóż uczyni. Czyż mnie nie odepchnie, jak pierwszego z aniołów, tam dotąd, skąd wyszedłem, w nicość, w rozpacz wieczną? Bo czemże rozpacz, jeżeli nie samowiedza nicości? Zasłużyłem na to, mój Boże, ale dobroć Twoja większa od mojej złości. Ukochałeś mnie więcej od aniołów.

Dałeś mi sposób zmazania złości, unieważnienia zatwierdzonej woli, a tem unieważnieniem jest skrucha, za tym serdecznego żalu. Ale sami zdobyć się na to nie możemy. Wolna istota nie potrzebuje tego, co woli, ona tylko wzgardzić mną, ale nie mnie się ulęknąć; Ty nas, o Boże, wydarłeś rozpaczy, dając nam skruchę i boleść. Ale to dar Twój, a nie zasługa nasza.

Moje grzechy tak wielkie i tak haniebne, że chyba nadzwyczajnej potrzeba skruchy na ich zmazanie. Przez tyle lat nie wiedziałem, co to skrucha. Ty wiesz, mój Boże, że Cię błagam o skruchę, że bezustannie się modlę do Przeczystej Dziewicy, aby mi wyjednała skruchy czystej, niezmiernej. Czemu mi jej nie dajesz, czemu mi jej odmawiasz, mój Boże. Chwilami lęka się, ale niech się nie sprzykrzy Tobie, wołać do Ciebie nie przestanę, bo cóż poznam bez skruchy, bez Ciebie? Daj mi jej, Boże, ale obfitej, aby wszystkim strumieniem zabrały wszystkie brudy, wielka nieczystości i zgnilizny. Ulituj się nade mną, mój Boże.

1sza godzina (z południa)

Okropność mego postępowania leży w tem, że ile razy Bóg mówił: tak, tyle razy ja powiedziałem: nie! Robiłem wszystko jakby na przekorę. Mówiłem, ~~a przynajmniej~~ jeżeli nie ustami, to czynami i sprawami rąk moich: nie tak, jak Ty chcesz, Boże, lecz tak, jak ja chcę. Czyż można pomyśleć większe zuchwalstwo? W tem też korzeń wszelkiego grzechu, w tem wywyższaniu ja, w tem substytuowaniu naszego ja w miejsce bożego. I korzeń to wspólny wszystkich grzechów, wielkich i małych, śmiertelnych i powszednich, a nawet tego, co za grzech nie uchodzi i za taki poczytanem nie bywa, wszystkich najmniejszej niewierności, najdrobniejszego sprzeniewierzenia się woli Bożej. Dla tego wszystkie grzechy, choć nie wszystkie również srogo są karane, choć nie wszystkie również straszliwe pociągają skutki za sobą, jednakże w różnym stopniu są ohydne i na to same zasługują obrzydzenie.

W najmniejszym grzechu, najpowszedniejszym z powszednich, ta sama występuje antyteza, co w największym, ta sama opozycja się wyłania i łeb swój jadowity podnosi. Bóg mówi: nie zrobisz tego, a ja: zrobię. W tem zaprzeczeniu postawieniu się naszem zawarta cała nasza wina, a ta zawsze ta sama, bo z tej samej wychodzi rzeczy, ze sprzeciwienia Bożej woli nasza wola. Czyż ~~wobec~~ to nie zbrodnia jest? czyż to nie szczyt niewdzięczności? czyż to nie ~~p~~zerwanie miłości, jeżeli nie zupełne, to przynajmniej ostygnienie, zatamowanie jej biegu, uniemożebnianie jej działania, bo grzechy powszednie, nie mniej od śmiertelnych, nie dozwalają łasce bożej przystępu. Wobec tak jawnego faktu jakże mówią o grzechach powszednich, niby dozwolonych — jak gdyby Bóg kochający mógł zezwolić na taką niewierność w ~~mało~~ kochaniu. Bo czyż to co innego, jak niewierność. Jest to niewierność zupełna. Nie spełniamy życzenia Boga a służymy naszym własnym zachciankom. Otóż jasno jak słońce, że nie kocham wcale, jeżeli nie spełniam czyichś życzeń. Bo gdy kocham, to

nie czekam na objawieniem mi życzenie, lecz wyprzedzam najskrytsze myśli kochanej przez mnie osoby. Tego w grzechu powszednim nie czynimy. Dla tego jest on złamaniem wierności, wypowiedzeniem służby, zupełnie jak grzech śmiertelny. Że jego skutki nie tak okropne, a potem i nie jest również wysoko karanem, nie zmienia to jego istoty. Zresztą skutki jego nie są tak niewinne, jak zwykle się zdaje. Bo tamuje przypływ łaski bożej, sprowadza stagnacyą zupełną w strumieniu bożej miłości. Czyż to nie okropne? Czyż to nie drogi jeszcze?

Ale jeszcze gorsze pociąga skutki za sobą grzech powszedni. Często powtarzany, wyradza się w grzech śmiertelny, a przynajmniej ułatwia niesłychanie przejście do niego. Bo akt woli ten sam zawsze. Powiedzmy nie wobec wyraźnego Bożego tak. Otóż niech się ośmielę w małych rzeczach do oporu, a będzie ona, zważywszy na Boski majestat, również bezczelna, jak w wielkich rzeczach, niech potem bez żalu i chęci poprawy przedstawiam Ci Kochany mój upór, niech doń nawyknę i w nim się umocnię, a niebawem w wszystkich potem w największych sprawach na tę samą zdobędę się bezczelność w zaprzeczeniu. Niebezpieczeństwo to tak bliskie a oczywiste, że dłużej o nim rozprawiać nie warto.

To samo, co powiedziano o grzechu ~~powszednim~~, tyczy się i postępu małej niewierności. Zasadza się na tem, że nie robimy tego, czego Bóg od nas żąda. Niewierność odwrotną stroną grzechu powszedniego. Tam robimy coś, czego Bóg zakazał, tu nie robimy czegoś, choć Bóg nakazał. [illegible], że Konieć oburzam ustawicznie Duchownym wspólne: nie robię tego, bo mi się nie chce. Bóg tak chce, ale ja nie chcę. Nieszczęsne ja, kiedy przestanie przeciwić się Bogu Twemu? Skutki tych niewierności również wielkie, jak grzechów. Dla tego najmniejsze nawet z nich karał Bóg bardzo surowo w swoich

wybranych i świętych. Bo niewierność jest również bezwstydnem zaświadczeniem własnego ja a zaprzeczeniem Bożej woli, w każdy grzech: powtarzane wciągają nas do opozycji, do całkowitej odrazy Stworzenia przeciw Bogu, działania i istnienia nie w Jego ręku, które nieraz mnie przyjść do pojedynczych grzechów, a przeprowadza przez te, niby po mnie przedsionku, do rąk czarta i oddają nas w pęta najcięższych, najsromotniejszych zbrodni. Zachowaj mnie od tego, mój Boże. –

8 godzina z wieczora.

Mój Boże, daj mi poznać całą nędzę moją z wszystkiemi następstwami, w całej wszystkości swojej i w całej swojej nikczemności. Stworzyłeś naturę ~~moją~~ jestestwa mego troistą: dałeś mi uczucie, rozum i wolę. Wszystkie trzy dziedziny były niegdyś czyste i z Tobą połączone, bez trudności trafiały one w człowieku do Ciebie. Ale od upadku praojca naszego wszystko się zmieniło.

Dziś jeszcze posiada natura nasza moc decydowania się na złe, ale moc zobaczenia dobre, a przedewszystkiem siła wzniesienia się do Ciebie, została jej odjęta zaraz po upadku. Chociażbym chciał, chociażbym się wysilał przez wieki całe, nie wzniosę się ani na krok od poziomu materji ku Tobie. Życie nadprzyrodzone, życie z Tobą zostało dla mnie zamkniętem, archanioł z ognistym mieczem ~~stoi~~ czuwa u wejścia jego i precz mnie odpędza.

Ale Ty jesteś niezmierzony w litości Twojej; zmiłowałeś się nad upadłymi i dałeś im sposób powrotu, dałeś im możebność odrodzenia się na nowo, aby dokonać rzeczy, która niegdyś wydała się Nikodemowi niemożliwą i pełną niedorzeczności, aby dokonawszy cudu, rozpoczęli żywot nowy, aby zerwawszy z materją oddali się duchowi, porzuciwszy czarta służyli Tobie, zabiwszy siebie odżyli w Tobie.

Drogą do tego cudu i urzeczywistnienia go jest Łaska Twoja, przez nią

mogę wywołać żywot nowy w Chrystusie, stać się z nim jedno zupełnie, w wszystkich trzech dziedzinach jestestwa mego zastąpić moje ja Chrystusem: moje uczucia jego uczuciami, mój rozum jego myślami, moją wolę jego wolą. Ale za nim to osięgnę, powinienem krok uczynić wstępny, przygotowawczy, krok niezbędny. Tym krokiem niezbędnym jest upokorzenie się z mojej nędzy. Żeby zaś upokorzyć się z niej, trzeba ją poznać wprzódy.

Otóż nędza moja troista jest, tak jak jestestwo, w którem się objawia. Jest nędza uczucia, nędza rozumu, nędza woli. Wszystkie trzy nędze jednoczę w swojej osobie, we wszystkich trzech odznaczałem się zarówno, tak iż trudno powiedzieć, która z trzech nędz we mnie najsilniejsza. Tyle wiem, że cały jestem nędzą i niczem prócz tego.

Zacznę od nędzy uczucia. Od pierwszych lat objawiała się we mnie w całej swojej ohydzie. Byłem zmysłowy jak mało kto. Czułem od pierwszych lat w sobie ogień, szukałem wciąż pewnej sobie podniety. A podnieta stawała mi się materya, gdzie i jaką napotykałem; wypotrzebowałem z niej dzień i noc, zamiast spocząć na [prawem] łonie Twojej miłości. Wszystkie odcienia zmysłowej podniety poznałem, nie opuściłem żadnej, chociaż ani jedna zaiste nie dotrzymała tego, czego przyrzekała z daleka. Także wyliczę wszystkie te odcienia brudnej chuci: od nienaturalnego zaspokojenia lubieżnej pożądliwości do wsparcia na łonie kobiety, od lubieżnych uścisków chłopaków do konwulsyjnych objęć martwych przedmiotów, od radosnego na widok pięknej twarzy, męskiej czy żeńskiej, do lubieżnego dotykania się przeto lub jedynie, ile tysięcy tam odmian, odcieni, wypełniających lata, a nie pozostawiające ani jednej chwili niezajętą. W takim kale żyłem mój Boże, długie lata, ponieważ pominąłem Ciebie, szukałem gdzie indziej podniety. Sam bowiem

moje tęskniło, wyrywało się na zewnątrz; wyliczyłem wszystko, co ono znalazło i czem się napawało. Zamiast kochać Ciebie, ukochało ono materyę; materya stała się dlań bogiem, a oto, jak nowy bóg ten się wywdzięczył, i jak wysoko podniósł moją chwałę. Nawet niechętnie spoglądam na kartę, gdzie skreśliłem błędy mojej przeszłości, bo dopiero sama przeszłość i włosy jeżą mi się na głowie, gdy na nią wspomnę. Ale nie na tem koniec, mój Boże. Niesyte żądze, lubieżne tylko jedne części uczuć moich porywały. Ale i w innych kształtach materya dobijała się panowania nademną i nakładała pęta na uczucia moje.

Wszelki pokarm i napój był mi bogiem; od pierwszych lat poczynając, nie zabroniłem sobie niczego, nie wiedziałem nigdy, co to wyrzeczenie, co to abnegacya. Nadużywałem napojów i pokarmów pod każdym względem; twierdziłem, że trzeba ich używać dla przyjemności jedzenia i picia, że jak sztuka dla sztuki, nauka dla nauki, tak i kuchnia dla kuchni powinna istnieć sama w sobie i z siebie. A nie głosiłem tego tylko w teoryi; ale gdy czas i środki zezwalały, a było to prawie zawsze, przeprowadzałem teoryę moją w rzeczywistości i praktycznie, własnym przykładem wpajałem ją w innych. Czyż można większą pomyśleć okropność, od owej kuchni dla kuchni, wina dla wina? Czyż to nie to samo, co bydlę, żarłoczne zwierzę ubrać w płaszcz filozofa i posadzić na tronie świata. Tak mój Boże, celu się wyrzekłem, a wspólnie z wieprzami kłaniałem się korytowi, a całą filozofię moją, całe długoletnie studya moje oddałem w służbę koryta, w niewolę brzucha. O zgrozo! o podła niewolo. Tak wielka dobroć Twoja mój Panie, że po latach tylu styranego długą hańbiącą służbą niewolnika przygarniasz na nowo do nóg Twoich i do łaski przyjmujesz. Szczęście to tak wielkie dla mnie i radość moja z niego tak wielka, że od zmysłów odchodzę.

Ale nie tu koniec, mój Boże. Serce moje, [illegible] materją Bożą, czuło ją pod każdą formą, pod każdem wrażeniem, do którego-kolwiek ono ze zmysłów wchodziło. Wszystko w materji podobało mi się, cieszyło mnie, wprawiało mnie w stan błogiego zadowolnienia, było mi potrzeba. Czyż sposób wyliczyć te miliony lubieżnych, przyjemnych, słodkich wrażeń, które wszystkiemi zmysłami tłumnie do mnie wchodziły. Przypuszczałem wszystkie i przy wszystkich się cieszyłem. Ale cóż to innego, jak cudzołóstwo? Tak mój Boże, byłem cudzołożnikiem z materją, zamiast pozostać w wierności ślubów Twoich.

Ale dalsze zaślepienie, dalsza złość serca mego. Jak gdyby mu nie dość było na materji, jak gdyby nie mogło zadowolnić wszystkich chuci swoich na niej, stwarza ono sobie za pomocą wyobraźni świat drugi, żeby przechodził oczy moje, a czego bez zastanowienia, pod wpływem okoliczności popełniane, miało utrwalić na zawsze, mieć je zawsze na pierwszem swoje, postawić je z całą samowiedzą, na zimno, po długim namyśle. Jeżeli pierwsza kraina grzechów na materji popełnionych jest okropna, to kraina imaginacji nie lepsza, nawet być może gorsza jeszcze, dla powodów, co dopiero wyłożonych.

Najprzód wysuwa się sfera zwierzęcej nieczystości. Wszystko, czego dopuszczałem się w nieczystym ciele, podnosiłem do olbrzymich rozmiarów, do potwornych karykatur, i takiego rodzaju obrazami zaludniałem wyobraźnię moją przez godziny i dnie całe. Ale sił mi nie staje, żeby brudy te powtórzyć na nowo, na samo o nich wspomnienie wstyd mi i źle, bardzo źle, rzucam za to wszystko, jak za plecy przeszłość moją, i zostaną zapomniane, jak Ty to uczyniłeś Jezusie, mój Boże, rok temu na generalnej spowiedzi. Przebaczyłeś mi wtedy tę przeszłość, a ja, cały wzruszony, długo skruszone oczy moje wryć w ziemne kamienie posadzki u stóp kaplicy, zawołałem

gorąco, niech przeszłość utonie na zawsze. Dzisiaj wywołałem na nowo obraz ubiegłych nieszczęsnych czasów, bo myślałem, że przyda mi się takie wspomnienie sobie całej nędzy mojej, takie wyliczenie moich upadków a Twoich przebaczeń, mojej złości a Twojej dobroci. Ale wywołanie to przeszłości niech będzie ostatniem, niech nie wróci nigdy. Wymaż je z pamięci mojej, mój dobrotliwy Boże.

Imaginacya przybywała zaraz na pomoc i ~~uciekł~~ od niego porzucając materyały nowe tworzyła kraje a w nich nowe osadzała postacie. Widziałem siebie uczonym, pięknym, młodym, bogatym, wykwintnym, szczęśliwym, świętym, wymownym i Bóg sam tylko pamięta i zna wszystkie te przymioty, któremi obsypywałem moję nędzę. A ponieważ nie dochodziłem był do tego stopnia szaleństwa, żebym w obecnej chwili przymioty te upatrywał w sobie, bo wtedy zapewne nie różniłbym się od waryata, więc odnosiłem je do przyszłości lub przeszłości, i tym wyobrażałem sobie, czem byłbym lub co zrobił, niemi zaopatrzony. To było nowe złodziejstwo umysłu mego, już nie z materyą, ale z własną imaginacyą.

Następnie i społeczne stosunki podsycały wyobraźnię moję. Widziałem się kochanym, podziwianym lub skrzywdzonym, i podług tego wyrabiałem w sobie uczucia do osób rzeczywiście żyjących. A uczucia te były najczęściej grzechami.

I tak mój Boże żyłem ciągle w złudzeniach, wśród mar i marzeń, a unikałem rzeczywistości, unikałem chwili teraźniejszej. Do niej żadnego nie czułem pociągu, że to cały interes mój, cała namiętność, całe przywiązanie układałem w wymyślony świat marzeń. Nowe złodziejstwo.

Tak więc serce moje było ciągle w nieporządku, w okropnej nędzy. ~~wyliczyłem~~ określiłem kilka rysów nędzy serca mego, ale nie wyczerpałem — daje się jednem objąć wyrazem: złodziejstwem, tak jak nędza rozumu kłamstwem jest a nędza woli zabójstwem. Obym się nareszcie wyleczył z nędzy serca mego. Mój Boże!

Genzano 6. października (10 ta godzina z rana)

Mój Boże, cóż mnie ośmielało do tak strasznych grzechów i do tak uporczywej w nich wytrwałości? Czy sądziłem, że bezkarnie broić mogę tak sobie w nieskończoność. Czy nie ostrzegałeś mnie w dobroci Twojej? Czy nie dawałeś mi pewnych, niezawodnych dowodów, i na mnie i na innych, że grzech nie pozostaje bez kary, złe bez zgubnych skutków?

Ach sprawdziło się na mnie stare dawne słowo, że kogo P. Bóg chce zgubić, temu najprzód rozum odbiera (Eschylos). Bo czyż nie byłem pozbawiony rozumu zupełnie, skoro nie wspominałem nigdy na skutki, skoro nie zatrzymałem nigdy myśli mojej na karach, idących w trop za grzechem? A czemże śmierć, mój Boże, jeżeli nie karą? Wyrzekłeś przecież straszliwe słowo: tego samego dnia, którego zgrzeszysz, śmiercią pomrzesz. Groźba spełniła się na Adamie i na tysiącach pokoleń, na wszystkiem jego potomstwie, a jednak nikogo nie przekonywa. Bo czyżby wtedy nie rozpamiętywałbym dzień i noc tę straszną groźbę i straszne jej spełnienie? Czyżbym nie stawiał sobie bezustannie przed oczy śmierć Adama i wszystkich jego pokoleń aż do dnia dzisiejszego?

Widziałem śmierć z blizka. Umierali ludzie pod moim okiem, a nawet prawie w objęciach moich: widziałem ich okropne pasowanie się z aniołem zguby [zniszczenia], ich opieranie się, rozpaczliwe ale daremne, wdzierającym się ciemnościom. Pamiętam jedną, która beztroską tańcząc skróciła umyślnie szereg dni swoich, pamiętam jej konanie, jej chrapanie rozpaczliwe, zgniecione dławiącą ręką anioła mściciela, widziałem sztywność jej członków, [illegible] w objęciach śmierci, widziałem jej rysy zmienione, konwulsyjnie ściśnięte wargi, wydęte nozdrza, ustawicznie chwytające powietrze, zapadłe oczy, twarz wreszcie, zmienioną od skrzydeł śmierci, okropną bladością całą, uważałem trzy

nocy przy tem okropnem zjawisku, odchodziłem prawie od zmysłów, a jednak na cóż się to zdało wszystko. Miliony byłyby się zemdlały na ten widok jeden, gdyby stanęły przy tem łożu okropnem, oświetlonem niepewnym migiem dogorywającej lampy, i ja pozostałem zimny – tak jest! zimny. Zamiast rozbić sobie głowę o kamienną posadzkę i zerwać się wprost, pozostałem takim, jakim byłem, a nawet przy tem łożu konającej zwróciłem lubieżny, obrzydliwy wzrok mój na ciało niewiasty i potajemnie ją ściskałem.

A gdybym ja był tak skonał, jak ona? gdybym był nagle umarł w wypadku? Wszak opierała się słowom kapłana, przyjętemu na koniec dobrze z świętobliwego końca do życia. A jeśli nawet została żal jaki, czyż nie mogła sobie powiedzieć: za późno? A ja nie pamiętałem na to. Od tylu lat nie myślałem nigdy o śmierci, owszem zapomniałem, że mnie nie dosięgnie tak prędko, że pożyję jeszcze długo. Gdzie byłeś Ty, mój Boże, gdym usłyszał tak okropne bluźnierstwa, gdzie pioruny, strzały zali Twoich? O nieskończona dobroć litości! zamiast strącić mnie w nicość, podniosłeś, zamiast potępić, ocaliłeś. Nie pamiętałeś! Panie na głupstwa moje. Bo czyż można wyobrazić sobie głupszego człowieka, który przekonany o prawdziwości faktu, jednak go nie uznaje? Ja nie inaczej postępowałem. Wiedząc, że śmierć dosięga wszystkich, nie myślałem jednak nigdy o sobie, że i ja kiedyś legnę pod nią.

Co mówię: kiedyś? Czyż nie mogło w chwili mnie spotkać to nieszczęście? A wtedy byłbym umarł nieprzygotowany. Co za okropne nieszczęście. Miliony umierają a każdego śmierć zachodzi nieprzygotowanego; ani jeden nie spodziewał się, że umrze, ani jeden nie gotów do bezpowrotnej podróży. I Chrystus Pan bezustannie zaręczał, że nadejdzie śmierć na nieprzygotowanych, a my nie korzystamy z tej rady, my żyjemy tak, jak gdyby nie było śmierci. –

A otrzymawszy przywilej oddalić śmierć. Mój Boże. Otwórz oczy grzesznikom, kiedy wszystko za późno. Dwa razy otwierasz nam oczy. Pierwszy raz po pierwszym grzechu, kiedy po utracie niewinności oglądamy całą ohydę nagości naszej. Pierwsze to przestroga Twoja. Ale nie zważamy na to; staramy się ze wszystkich sił, aby wzrok nasz przywykł do tej nagości naszej i aby nam dobrze z tem było. Wtedy zostawiasz nas wszystkich (to wyjątki nie są przeciw sprawiedliwości Twojej) w ciemności, nie ukazujesz nam się takim, jakimś jest w istocie; zupełnie sprawiedliwym, zupełnie dobrym. Pozwalasz że patrzymy na Cię przez soczewkę namiętności naszych, przez brudne szkło ograniczonego rozumu i skalanego serca, że nie Tobie się kłaniamy, lecz jakiemuś fałszywemu pojęciu, które wyrobiliśmy sobie w zgodzie z niskiemnością naszą.

Ale raz jeszcze, odejmujesz soczewkę z oczu naszych, i ukazujesz nam się takim, jakim byłeś przed wiekami i jakim będziesz na wieki. A drugie to ostrzeżenie; któż powie, czy ono ~~jest~~ ostrzeżeniem jeszcze czy już potępieniem? Czy na to raz jeszcze odsłaniasz grzesznikom oblicze swoje, aby się nawrócił i zatrwożył się nad przepaścią, od której go kilka dzieli godzin, czy też ukazujesz mu, w obawie na zawsze, aby na karę grzechów poleciał w przepaść z rozpaczą swoją.

Śmierć przygotowana najpiękniejszym darem Boga. Był to przywilej świętych, których choć każdy dzień przygotowany na rozstanie się z światem, jednak od Boga krótko przed śmiercią jeszcze miewali przepowiednie, aby tem lepiej i tem spokojniej umierali. Daj i mnie taką śmierć spokojną, o Boże, a Ty, N. Panno, wstaw się za mną o to do Syna Twego.

1sza godzina z południa.

Po tem zbawieniu do kar i do śmierci, uwolń, mój Boże, do win moich, aby

zupełnie przeniknąć i wydobyć na wierzch same dna ich nędzy. Wspomniałem pokrótce, jak wielką była siła serca mego w ukochaniu materyi, potem o kochaniu się w urojeniach, w krainach imaginacyi także pokrótce powiedziałem. Ale zostaje jeszcze trzeci niby las, do którego wola moja się zabłąkać. Albowiem prócz rzeczy i myśli istnieją jeszcze zewnątrz nas osoby: serce ludzkie wiąże się nietylko do pieniędzy i drugich, nie tylko do grubej materyi i do delikatniejszych tworów imaginacyi, lecz przedewszystkiem do osób. Niemasz osoby, którąby nie szukała w innych osobach choć czasem pociechy.

Bo czyż to nie szukanie pociechy, że rozmawiam z innymi? Bo i na cóż rozmawiam? Rzadko na to, żeby się czegoś nauczyć; zwykle na to, żeby się zabawić, żeby czas zabić. Doszedłem był w ostatnich latach do tego stopnia czułości i nie-powściągnięcia, że samotność mi ciężyła, że szukałem w dzień kogoś ze znajomych, aby z nim pogawędzić, a gdy nie znalazłem, czułem się najnieszczęśliwszym z ludzi. Cały to był nieprzejrzany szereg stosunków, po których błąkałem się chciwie, do których chętnie zbaczałem w dzień, aby stracić z oczu drogę prostą, ~~i nie~~ aby zapomnieć o celu moim, zagłuszyć sumienie i siebie bawić, to jest nadskakiwać, służyć sobie samemu. A cóż powiem o świecie i moich z nim stosunkach? Czyż nie wyrywałem się bez ustanku do niego po [illegible], czyż jego ~~[illegible]~~ pochwały i kadzidła, prawdziwe czy udane, nie stały się dla mnie codzienną potrzebą, bez której obywać się nie umiałem? A jeszcze teraz, w klasztornej zaciszy? Czyż nie rozmawiam często z braćmi, nawet poza rekreacyą, na to tylko, aby coś powiedzieć, aby zadość uczynić fizycznej potrzebie języka? A gdy przez dni kilka nie widziałem się z jednym z braci, czyż nawet po wieczornych modlitwach, mimo nakazanego silentium, nie rozmawialiśmy do późna w nocy. A na co? Żeby się poznać wzajemnie? Bynajmniej. Często brakło przedmiotów, a wtedy zaczyna-

walczymy o byle czem, literalnie o niczem, żeby tylko nie dać się urwać rozmowie. Jak gdyby milczenie było stanem okropnym, nienaturalnym człowieka, a rozmowa jego stanem normalnym. A przecież [illegible] przeciwnie mniej się ma, bo Chrystus powiedział: zdać sprawę z każdego próżnego słowa. A ile słów próżnych w naszej rozmowie? Myślę, że darmo by się trudził, kto by chciał je zliczyć wszystkie. Bo i jak wystrzegać się słów próżnych, kiedy się mówi dzień cały? Słów niepróżnych bardzo mało, one nie wypełnią długich godzin. — Połowa życia mego składa się z próżnych słów, a druga z próżnych myśli. A wszystkie te próżne rozmowy na to, aby sobie zjednać innych lub swoje ja [illegible] obecnym, o ze wyrzucanie drugim, co za przygotowywanie zabaw, rozmnażanie towarzyskich rozrywek — oto to okropne —

Jeżeli w rozmowie zwykłej znajdowałem pociechę, to więcej idealną w uznaniach innych ludzi, obrachowywałem wszystko na efekt, aby moje ja także a mię [illegible] na nich robiło wrażenie a w tem znajdowałem pociechę moją. Ileż napisałem artykułów, aby innym się przypodobać, ile słów powiedziałem, ile nawet myślałem jedynie na to, aby się przypodobać innym, aby mieć tę pociechę, że innych serca są dla mnie przyjacielsko usposobione.

A jeżeli od tych idealniejszych pociech przechodzę do zmysłowych, to prawda że nigdy nie kochałem, ale byłem zawsze niewolnikiem uczuć i nie myślałem nigdy o tem, żeby szukać go w stworzeniu prawdy, najpierw ~~~~ przyjaciela, lecz poświęcałem wszystko, interes prawdy, estetyczność, moralność, nawet niby samego siebie przyszłość moją na raz przyjaciół, których przybierałem, Bóg wie, w jakie przymioty. I tak byłem zawsze niewolnikiem.

Otóż gdy zliczę i przejrzę raz jeszcze długi szereg grzechów, których dopuszczałem się zawsze mową, naturalną pociechą, to muszę przyznać się, że grzeszyłem ciągle

we wszystkich trzech działaniach. Bo jak kolwiek serce osobną władzą jest w ludzkiej naturze, nie wytłumacza jednak współdziałania innych władz: myślenia i woli. Dla tego oglądaliśmy wówczas serce już to w polu czysto sercowem, materyalnem, już to w polu idealniejszem, już to w polu społecznem, w stosunku do innych osób. A każdą z tych trzech dziedzin podzieliłem na trzy mniejsze obręby, podług tego, czy serce w nich się mieści, czy myśl, czy wola, t. j. materyalna, idealna, społeczna.

Otóż wyznałem, że serce moje szukało pociechy: czy to grzechem? Nie, bo istota serca jest tego rodzaju, że koniecznie szukać musi pociechy, ale o to chodzi, gdzie ją znajdzie: czy do Ciebie się uda po pociechę, czy do stworzeń? Wyznałem że nigdy nie chodziłem do Ciebie po pociechę, że nie w świecie nadprzyrodzonym szukałem jej, lecz w świecie przyrodzonym, za pomocą wszystkich władz moich. Powiedziałem że wspólną wszystkich pokazanych pociech cechą jest cudzołóstwo, nieczystość – tylem dziewięciorakim cudzołożnikiem, bo w dziewięciu kierunkach równocześnie pełniłem nieczystość. Czyż to nie ocean bezprawia? Cóż Ty na to, mój Boże!

8. godzina (z wieczora)

Modliłem się do Ciebie, abyś mi wyjawił całą nędzę moją, bez osłony, w ohydnej nagości mojej, i pokazałeś mi część tej nędzy, nędzę serca. Ale nie na tem koniec mej obrzydliwości i niecnoty mojej, bo nie cały jestem w sercu. Pokaż mi więc, Boże dobrotliwy, resztę mej nędzy.

Bo nie cały jestem w sercu. Serce moje szuka pociech, powiedziałem już jakim sposobem i jakich rodzajów. Ale prócz serca mam rozum i wolę. Otóż jak serce potrzebuje i szuka pociechy, a pozbawiony od źródła wielkiej pociechy, w braku żywej wody upaja się w błotnistym źródle cudzołóstwa, tak i rozum, nie mając w sobie przyczyny istnienia, wychodzi ze siebie i szuka uznania, chwały,

wielkości. To jego prawo, to nakaz jego. Rozum powinien szukać chwały, ale jak serce zgubiwszy drogę do Pociechy Najwyższej, stracił i rozum z oczu Prawdę Najwyższą, Odwieczną Chwałę. I jak serce zbłądzone mętnemi, ~~fał~~ krzepi się pociechami, nieczystem cudzołóstwem, tak rozum zbłądzony karmi się złudnemi prawdami, fałszem i kłamstwem. Nieporządek w dziedzinie serca nazywa się cudzołóstwem, w dziedzinie rozumu kłamstwem.

Kłamałem bezustannie, przy każdej sposobności, wszelkiemi rodzajami. Kłamstwo to objawiało się w szukaniu chwały. A z czegoż nie szukałem chwały?

W sferze zmysłów, w obrębie powierzchowności, gdzie najmniej byłem powinien, szukałem chwały. Prawda że bardzo mało w dziedzinie tej miałem środków. Jestem niezgrabny, stały, brzydki, ciężki, powolny, i nie nabyłem żadnej zręczności, przynajmniej nie posunąłem żadnej do stopnia, gdzieby mogła być chlubą. Konno jeżdżę nie osobliwie, pływam prawie nic, tańczę jak niedźwiedź, skaczę jak słoń; w bieganiu szybko ustawam; w piłce i na bilardzie nie doszedłem nawet do poziomu najzwyczajniejszej ~~zręczności~~ zręczności. Oczywista rzecz, że nie zbierałem laurów w tym polu, bez śmiechu lub dwuznacznej pochwały. Okazałem się w tej sferze tem, czem w istocie jestem: niedołęstwem. A jednak i w tem niedołęstwie, na które spoglądają z litością, odkryłem strony, na których wyrabiałem i zbierałem chwałę. Zwracano ~~u~~ uwagę na małą nóżkę, muszę stawić ją w zgrabne buciki choć były zbyt ciasne, i wysuwać ją naprzód, jak stara zalotnica. Kobiety chwaliły moje ręce, które są małe i ~~[illegible]~~ prócz żadnej nieforemności, nie mają nic w sobie nieprzyjemnego. Ale dość mi było na uwagach kobiecych, ażeby stroić rączki w ładne rękawiczki, myć je starannie, chronić przed słońcem a w towarzystwie, wśród rozmowy lub przy stole, zawsze tak umieścić, aby się jak najkorzystniej przedstawiały. Mój Boże, i ty oczyściłeś takie moje błazeństwa! wydoby-

wać chwały z tego, co w nas najwięcej znaczącego.

A w niby idealniejszych umysłowości sferach, jeżeli mniej grzeszyłem, niż w odpowiedniej dziedzinie serca, to pochodziło jedynie z braku władz, a nie ze wstrętu do grzechu. Owszem, jakie tylko posiadam władze, z wszystkich szukam chwały. Wprawdzie nie gram na żadnym instrumencie, ani nie śpiewam, coby to było, gdybym umiał jedno i drugie. Ale nie źle czytam, a przygotowany, nawet deklamuję z pewnym efektem, choć i w tem daleko mi, niesłychanie daleko do jakiegoś cienia doskonałości – wykładom zaś moim dawałem pewną staranną, ozdobną zewnętrzność. Że to mnie chwalono, a jak się puszyłem z tych pochwał. Nawet do czasu klasztoru wkradła się za mną duma z pięknego czytania. Taki ja głupi, bo inni lepiej czytają ciemni.

Nareszcie w społeczności, że się tak wyrażę, umysłowości, tam dopiero zabiegałem się o chwałę. Własne moje ja wyjąłem ze siebie, przybrałem w niesłychaną ambicyę i próżność, w nadzwyczajną, prawie boską powagę i nietykalność, i z tego uczyniwszy sobie lalkę, ~~modlit~~ obrałem ją sobie za wzór i przewodnika, w miejsce prawdziwego Boga przeszedłem za bożkiem fałszywym, ze dziełem rąk swoich, a przynajmniej wyobraźni mojej.

I za co nie chciałem uchodzić: chciałem by mnie uważano za bogatego, znakomicie wychowanego, posiadającego niezrównane i niesłychane przymioty, na stworzenia poniżej każdy patrzyć w górę, bo on wszystkich przewyższa. Nie zdaję się dłużej w szczegóły, i były by nużące, a nie nauczyły by mnie niczego. Tyle tylko dodam, że ambicya moja o tyle więcej była potępienia godną od ambicyi innych, że próżność łączyła się we mnie z również wielkiem lenistwem. Inni zbierali wprawdzie owoce próżności, ale zapracowywszy na nie; ja chciałem je także zbierać i używałem wolę ich ciągle, ale nigdy nie chciałem na serio koło nich się krzątać. Dziwna kontradykcya: gardziłem środkiem a cieszyłem końcem, nie używałem

pracy poświęconej widokom próżności, a gustowałem w płodach próżności.

Od zmysłowej kopalni chwały przechodzę do umysłowej. Tam najpierw spotykam się z dowcipem, z najniższą materyalną stroną umysłowego świata. Bo to świat cały, to życie umysłowe, również wielki a piękniejszy od świata zmysłowego. Ileż tam nigdy dowcipów, owszem udawały mi się, Bóg wie, skąd przybywające, a ja zbierałem okrzyk oklasku lub śmiech z strony. A sam jakże lubię się śmiać z dobrych dowcipów! Czyż to godzi się śmiać się tak silnie, jak ja i tak często?

Inną stroną zmiłowania chwały w krainie umysłowego życia, była wiedza. Cieszyłem się, jak dziecko, gdy podziwiano moją wiedzę, a chociaż nie mogę twierdzić, żem się gotował za wiedzą moją na wystawę lub uczył się, aby potem mieć się czem pokazać — co jeśli się zdarzyło, to chyba kilka razy w życiu mojém, bo dzisiaj nie przypominam sobie dokładnie nic takiego — ale za to, jak często w rozmowach, dysputach, wykładach, przy danej sposobności a często i bez niej popisywałem się erudycyą. Tak często podawałem fakta źle, niedokładnie, bo nie znałem ich lepiej, a miałem zawsze pretensyi do najlepszych wiadomości. Nareszcie ile paradoksów puszczałem w świat, sam w nie nie wierząc, byleby się odznaczyć czemś osobliwém, jaskrawém.

Nareszcie ze strony społecznej w krainie umysłowej mniej sobie wyrzucam — nie chodziło mi nigdy bardzo o to, aby inni wierzyli niby w prawdę moją. Nie napisałem dotąd systemu, ale gdybym go ~~kiedy~~ był stworzył w tem usposobieniu mojém, nie byłbym dumny z tego, że wszyscy w niego wierzą, jak z tego, że wszyscy go podziwiają. Gdyby nikt nie wierzył w niego, ale wszyscy podziwiali, a głośniej wymawiali o tem z pewnym szacunkiem, byłbym zupełnie rad zadowolniony; owszem dodawałoby to chwale uroku, że stoję sam, a nikt nie śmie iść za mną lub obok mnie. Gdybym był miał uczniów, byłbym się prędko niemi

znudził, a nawet oddalił od siebie najdziwniejszemi kontradykcyami, sztucznemi umyślnie, byleby ocalić odrębne stanowisko. N. p. w potępieniu szkodliwych pisarzy, których broniłem, że mnie zaczepiano. Przy tem wiele wpływała sympatya lub antypatya do broniącej osoby. Pochwały od osoby antypatycznej były mi niemiłe, a często powodem, żem się wyrzekał rzeczy, która ~~stała~~ się przyczyną tych pochwał. Widać stąd, mój Boże, że tylko o sobie myślałem i o ubóstwieniu mego mistrza. Bo choć pomogło, że niby w domu szukałem prawdy dla prawdy i wobec jasnych dowodów nie obstawałem przy mojem zdaniem, kiedy w stosunkach społecznych kierowałem się tylko sobą i chwałą, jaka na mnie spaść miała. To był fałsz, mój Boże, taka chwała kłamstwem przesiąknięta. Jak zaś lekarstwem na niedołęstwo serca jest obrzydzenie sobie tego serca, tak tutaj lekarstwem na fałsz, ~~jest~~ na skłamaną chwałę, na zmyśloną wielkość jest naga prawda, że jesteśmy nicestwem, a jako takie zasługujemy tylko na pogardę. Jedyną zaś prawdą Ty jesteś, mój Boże.

Genzano 8. października (10ta godzina z rana)

Dziękuję Ci, mój Boże, że mi odsłaniasz nędzę moją, a przez to dajesz mi możebność ~~upokorzenia~~. Bo jakże nie upokorzyć się, widząc się takim kałem bezprawia. Karzesz za nędzę moją pokazując mi także wszystkie jej następstwa: śmierć, zawieszoną ciągle nad bezbożną głową moją, a za nią sąd, sąd przed obliczności Twoją, mój Boże. Ach, zdaje się, żeśmy już zupełnie utracili wiarę, że już lekceważymy sobie słowa Zbawiciela, bo czyżbyśmy zezwalali nawet na grzech najmniejszy, pamiętając ~~na to~~, ~~że~~ śmierć naszą i na sąd jej towarzyszący. Gdybym raz wstając z łoża miał w żywej pamięci ostateczne moje sprawy, których uniknąć nie sposób, a których zdać się będę zmuszony kiedyś; gdybym co dzień, podnosząc się z łoża choć przez mgnienie oka chwilki wspomniał na to, że każdej minuty umrzeć mogę, a potem będę sądzony, zdaje mi się, że myśl ta przez dzień cały strzegłaby mnie od

grzechów nawet powszednich. Nie wyrzucę sobie tego, mój Boże, i co dzień wzywam cierpliwości Twojej, co dzień pozwolę sobie z taką pewnością i nie oglądaniem się na nic, nie zważaniem na nic, jak gdybym żyć miał na wieki a nigdy nie zdawał sprawy z wszystkich moich.

A przecież jest artykułem wiary, że żaden uczynek nasz, żadne słowo, choćby najmniejsze i najbłahsze, nie przepadnie: wszystkie pójdą za nami przed trybunał Chrystusa i same oskarżać i sądzić nas będą. Wtedy zobaczymy wszystkie nasze sprawy, o których już niejednokrotnie zwykle nie pamiętamy, przed sobą jakby uzmysłowione i jednym rzutem oka obejmiemy wszystkie, całą naszą żywota naszego. I nie będziemy mogli się uniewinniać, nie będziemy mogli zwalać winy z siebie na okoliczności lub na Boga. Bo gdy powiemy, że okoliczności zmusiły mnie do upadku, wtedy wystąpią przeciw mnie zastępy męczenników i wyznawców i zawołają strasznym chórem: a nas czy zmusiły okoliczności? A gdy przez nich zmieszany zwrócimy się w drugą stronę i powiem, że to wina Boga, bo nie chronił mnie od upadku, tak jak chronił wybranych swoich, wtedy wystąpią niezliczone Twoje łaski, wielkich i małych, złotych i srebrnych, a razem zanucimy hymn pochwalny na cześć Najwyższego, które mi zadadzą, uskarżającemu się na opuszczenie od Boga, na brak pomocy. Tak to, oderwawszy się od mnie, czyś zostawał, Panie, tylko ile nas było w Tobie, przed Tobą i za Tobą na każdym kroku Twoim. Gdziekolwiek stąpałeś, z pod nóg Twoich wylatywały, niby motyle, coraz nowe łaski i coraz gęstszym otaczały Cię rojem. A teraz patrz! Oto cały niepoliczony orszak ich, niby srebrem i złotem przetkany szafirowy obłok, opuszcza się w jedną szalę sprawiedliwej wagi, w szalę Boga. A w drugą szalę rzucą się wszystkie moje uczynki, niby chmara czarnych ptaków, z przeraźliwym wrzaskiem. I cóż się stało. Szala jedna, szala łask mi udzielonych, przeważy o cztery razy szalę czarną, szalę spraw moich. A łaski zawołają groźnie:

patrz, ilerazy takich, jak Ciebie, mogłyśmy zbawić, a Ty nas zdeptałeś i odrzuciłeś precz; wszyscy my za niczem. Cóż wtedy powiem mój Boże? Czyż nie powiem: Sprawiedliwy jesteś a ja nikczemny. Nie Ty potępiłeś mnie lecz sam samego siebie. Ty tylko patrzałeś na sąd mój, a sędzią moją ja byłem. Sam wydaję wyrok potępienia a siebie muszę wynosić pod wszystkie wieki dla chwały Twojej. Nie Ty strącasz mnie w przepaść, lecz ja sam samego siebie. Bo na Twoje gody przybyłem w brudnych łachmanach, dla Twojej światłości ze wzrokiem przyzwyczajonym do nocy. Czyż nie Twoja wina, że brudny łachman na mnie zaczyna mnie palić żarem zawstydzenia, tak iż nie mogę wytrzymać w orszaku świętych szat godowych? Czyż Twoja wina, że oko moje, przywykłe do nocy, zamykam z przerażenia przed wiecznym blaskiem Twego majestatu. Nie, mój Boże, nie Ty mnie potępiasz, nawet nie karzesz mnie, bo Tyś stokrotnie jesteś dobry. Lecz sam samego siebie potępiam i sam sobie wymierzam karę. Ponieważ mnie, stworzenie nocne, napawa strachem świetna jasność Twojej obecności, przeto z przerażeniem, jak spłoszona sowa, z przekleństwem dla światła, rzucam się naraz w ciemności, bo tylko w ciemnościach żyć mogę. A wszystkie czyny moje, jak stado przerażonych kruków, razem ze mną zapadają się w przepaść. A Ty nic nie mówisz, dobrotliwy Ojcze, tylko litości w oku Twoim, bo chciałeś zbawić nieszczęsnego, ale on nie chciał. O Ty zawsze jesteś dobry, zawsze sprawiedliwy, a ja bezecny i podły.

1sza godzina (z południa)

Pod wpływem łaski Twojej snuję dalej szereg moich grzechów, obraz mojej nędzy. Wyspowiadałem się z nędzy mego serca, jak ono szukało pociechy wszędzie: w zmysłach, w przedmiotach rozumu, w czynach i stosunkach społecznych, wszędzie, jednem słowem, tylko nie w Tobie, mój Boże. Zacząłem potem spowiedź z nędzy drugiej, równie wielkiej, jak pierwsza, z nędzy fałszu i kłamstwa. Pierwsza kraina była

negacyą pociechy, teraz następuje negacya chwały, chwała fałszywa, udana. Szukałem tej chwały z przymiotów moich fizycznych, potem umysłowych — pozostaje mi spowiedź z trzeciego źródła szukania chwały. Szukałem jej z przymiotów woli, z charakteru, z wpływu na innych. Zrobiłem znowu sobie lalkę utkaną z marzeń, a podszytą kłamstwem i lalkę tę wyniosłszy na tron bóstwa, starałem się do niej podobnym; to był mój ideał, a całem dążeniem mojem, całą chwałą moją, stać się jak najwięcej do niego podobnym. Ta lalka, tym ideałem byłem znowu ja, szukałem chwały w tem, że ja, moje ja takim jest i za takie w mniemaniu innych uchodzi. A jak z innych przymiotów umysłowych w ten sposób szukałem chwały, że dzieła za ich pomocą dokonane lub osiągnięte, nie tylko za swoje podawałem, lecz chociaż nie były moje, ze sobą identyfikowałem, jak poprzednio szukałem chwały z wiedzy, nie dla tego, że pracowałem nad nabyciem jej, lecz że wiedzą ja jestem, jak z prawdy szukałem chwały, nie dla tego, że P. Bóg takową mi objawić raczył, lecz że prawdą ja jestem, tak i w działaniu woli na innych, w stosunkach z innymi, szukałem chwały, nie z czynów, lecz z siebie.

Chciałem koniecznie uchodzić za poczciwego. O czyny poczciwe wcale mi nie chodziło, owszem byłem zdecydowany na wszelką podłość i nikczemność, ile razy interes mój tego wymagał, ale obstawałem zawsze za honorem, za poczciwością. A chociaż w duszy nie miałem ani pierwszego ani drugiego, i najmniejszej do nich wagi nie przywiązywałem, jednakże żądałem, aby inni mnie za takiego mieli i mocno o to dbałem, a nawet więcej nie wątpiłem, że inni mają jak najkorzystniejszą o mnie opinię. Dziwne, smutne zaślepienie.

A czyż inaczej rzecz się ma z mądrością moją? Czyż mi chodziło o mądrość prawdziwą, od Boga daną? czy nie w tem tylko szukałem mojej chwały, abym uchodził za mądrego? I czyż nie, doszedłem do tego, że sądziłem zawsze, aby się przypodo-

bać osobom, że ilekroć zachodził spór między prawdą a interesem osoby, nie wahałem się nigdy stanąć po stronie interesu, a zamilknąć o prawdzie. Oto mądrość moja. A często gorzej jeszcze. Broniłem prawdy teoretycznie, oświadczając, że praktykę przeciwnego wymaga postępku. Czyż to nie szczyt sofistyki a zarazem ostatni stopień zepsucia, gdzie się pragnie uchodzić za miłośnika obu, za przyjaciela prawdy i przyjaciela interesu, ażeby z obu zbierać smaczne owoce. To już gorsze niż grzeszne.

Pragnąłem nawet z pokornego ułożenia na pozór szukałem chwały, chociaż to najpierwej się wypierało, nie żeby istota moja się temu sprzeciwiała, bo prosto wszystko obracałem w pokarm samolubstwa, nie byłbym się cofnął nawet przed świętością. Ale okazji do tego zwykle nie było.

I tak, mój Boże, zarówno ze wszystkich przedmiotów umysłowych szukałem chwały, a nie tylko z nich, lecz z wszystkich władz mojej istoty, z całego mego jestestwa. Jak wszystko obracałem na potrzebę mego ja, cudzołożąc ze wszystkiem, bez wyjątku, tak samo wszystko, nawet ~~Boga~~ służbę Bożą, obracałem w narzędzie mojej dumy, kłamałem na wszystkie strony i za pomocą wszystkiego, byleby moje ja otoczyć blaskiem chwały. Do zupełnej nędzy serca dodałem również wielką nędzę umysłu: byłem nie tylko cudzołożnikiem, lecz nad to kłamcą.

Ale Ty, Boże mój dobrotliwy, dałeś mi skuteczne na wielką nędzę lekarstwo, tylko zażywać mi się go nie chce: dowiodłeś mi, że moje serce jest stekiem brudów, któremu nie warto nieść pociechy, o który nie godzi się mieć starania, lecz który jak najgorszym powinien nas przejmować wstrętem, jak najwięcej obudzić w nas obrzydzenie. Oto lekarstwo na cudzołóstwo: wstręt i obrzydzenie. A na poskromienie owej żądzy chwały, na założenie fałszu dałeś nam nie mniej skuteczne lekarstwo: przekonałem się, że we mnie nic nie ma, coby zasługiwało na chwałę; wszystko, co mi chwałę daje, od Boga jest, ale to nie moja chwała, lecz Boża, a tylko tym

sposobem moją się stoję, że ją bezwładnie sobie przywłaszczam, że jest po prostu kradzież. Gdy coś odsunę na bok wszystko, co od Boga jest i przypatrzę się temu, co ze mnie jest, co do mnie należy, z czego chwalić się mi wolno, bo tylko z tego chwalić się mogę, co mojem jest, gdy więc ~~zacznę~~ szukać tego, nie znajdę nic zgoła. Bo cały jestem nicością. A cóż należy się nicości z czyjej chwały? Bynajmniej. Należy mi się zupełna pogarda. Nicością gardzimy. Otóż ~~ona~~ potrzebna broń, którą mi dałeś w dobroci Twej, przeciw dwu strasznym wrogom: przeciw samolubstwu obrzydzenie, przeciw kłamstwu pogardę. Tą bronią mogę zwalczać nędzę moją, mogę uciąć łeb hydrze, tylebym chciał, bo Ty zawsze gotów jesteś z pomocą. Dość bym tylko lekkie zrobił poruszenie, aby z ziemi się podnieść, a już ~~całego~~ mnie chwytasz pod ręce i całego podnosisz. Dzięki Ci, o niewyczerpany w dobroci swej, o wielki Boże.

8 godzina (z wieczora)

Dzisiaj już czwarty się kończy dzień a piąty wieczór rekolekcyi: jestem coraz szczęśliwszy. Im więcej łaska Boża pozwala mi wsiąkać we własne jestestwo, tem więcej odkrywam tam okropnych nieporządków, których nie znałem poprzednio, jak obrzydzeniem, pogardą, nienawiścią. Mój Boże! nienawiść siebie samego, oto jedyny cel do którego dziś pragnę na teraz, jedyne to moje pragnienie. Wiem, że za tem iść powinna „miłość Ciebie we mnie" ale trudno mi się pogodzić z myślą, że mam posiąść tak wielkie szczęście. Obecnie proszę Cię o jedno, mój Jezu, o nienawiść siebie samego. Niechaj poczuję wstręt, niech pogardzę, niech znienawidzę tę garść błota i robaków, zwaną się mojem ja — niech je znienawidzę w tym samym stopniu, w którym je niegdyś ubóstwiałem. Co po tem nastąpi, oto nie troszczę się wcale, bo wiem, że mnie prowadzisz, i wszystko mi dajesz w swoim czasie. ~~Wiem~~ Wiem wprawdzie, że zatwierdzić Ciebie w własnem mojem jestestwie by powinno być moją największą rozkoszą, mojem celem jedynym, ostatnim. Ale

to wszystko przeszłości i Łaski Twojej. Dla zatwierdzenia tego, które ma się odbyć w przyszłości, powinienem najpierwód grunt przysposobić. Sam tę przykazałeś, mój Panie. Ale jakże gotuje się grunt dla nowego zatwierdzenia? Czyż nie przez usunięcie starego, przez jego negacyą. Dotąd zatwierdzałem moje ja, jakże w nim mam odtąd zatwierdzać Ciebie. Miłość moja do mego ja była tak wielka, moje ja było wszędzie tak w sobie zatwierdzonem i tak pełne siebie, że tam najmniejszego nie było miejsca dla Ciebie. Trzeba więc wprzódy miejsce zrobić, a czyż nie do tego jedynym środkiem negacya? Powiem więc temu mojemu ja, że ono zasługuje na wszelkie nienawiści, że nie tylko nie może mieć pretensyi do panowania, do zatwierdzenia siebie, lecz że zgoła być nie powinno. Nicestwo być nie powinno. A jeżeli nicestwo ma szaloną chęć bytu, to oczywiście bytu swego nie ze siebie czerpać powinno, bo to będzie byt kłamany, lecz z źródła wszelkiego istnienia, z Odwiecznego Stwórcy.

Jutro odbywam spowiedź. Najlepsza to sposobność do negującego aktu. Bo czemże spowiedź, jeżeli nie jest negacyą grzesznej przeszłości? Ta negacya we formie spowiedzi jedynem lekarstwem na śmiertelną niemoc, jedynym ratunkiem przed ostateczną zagładą. Starożytność nie znała tego lekarstwa, tego życiodajnego balsamu, i dla tego pomarła. A dzisiaj jeszcze ile milionów, ile set milionów nie zna lub znać nie chce tego zbawienia i skazuje się na śmierć dobrowolną. Ach serce pęka na ~~na~~ tę ~~myśl przykrą~~ [fakt okrutny].

Powiadają, że ptak jeden tym sposobem utrzymywał się przy życiu po przez wieki, że ile razy (zestarzawszy się) dochodził do ~~kresu~~ [granic] największej niedołężności i ubezwładnienia, wtedy ~~uwiłszy~~ [nagromadziwszy] ogromny stos suchych liści i traw, a wszystko nakropiwszy życiodajnym balsamem, dobrowolnie się palił, aby potem wylecieć z popiołów młodym, dzielnym ptakiem. Otóż co robił zmyślony Fenix w bajkach poetów, robimy ciągle i patrzymy na to bezustannie. Kto tylko zechce szczerze, może odmładzać

napełnie. Niech zniesie grzechy swoje i przestępstwa, niech ułoży z nich stos u stóp spowiednika, przed ołtarzem Najwyższego, niech skropi stos ten łzami prawdziwej, serdecznej skruchy, niech potem zapłonie Bożą miłością i niech zgorze na stosie, a wyjdzie niebawem oczyszczony, jaśniejący jak słońce, biały jak śnieg. Po grzechach zaś, po stosie owym ani śladu nie zostaje: tchnienie Bożego miłosierdzia rozproszyło jego popioły na wszystkie wiatry, potem wieczne zapomnienie.

Starożytni nie znali tego środka odmłodzenia, to też umierali. Prawdziwie rozpacz bierze patrzącego na ich wysilenia. Najmędrsi z nich doszli do zupełnego in[illegible] przekonania o marności świata. Postanowili w zasadzie, że człowiek nie powinien mieć potrzeb, że powinien odrzucić świat cały doczesny. Jest to jakby negacya życia naturalnego. Ale tylko z daleka dwie te pojęcia do siebie podobne. Bo filozofowie starożytni zaprzeczali doczesności z dumy — a duma najwyższem właśnie zatwierdzeniem doczesności. To też dodają stoicy, nawet najszlachetniejsi, jak obrażani: oni negują bezustannie doczesność a mimo wszelkich wysiłków, mimo heroicznego mocowania się z nią, napotykają na końcu zawsze nową afirmacyą. Bo sam akt negujący był w nich zatwierdzeniem. Gdyby zaś negacya była się udała, tylkoby w równej wielkiej popadli rozpacz. Bo na cóż negować i co postawić po negacyi. Bo miejsce opróżnione przez negacyą, nie może próżnem pozostać, powinno być zajętem przez afirmacyę. Tą afirmacyą jest dla nas miłość Chrystusa. Najprzód negujemy doczesność, bo grzeszna jest, potem zatwierdzamy Chrystusa.

Jesteśmy zawieszeni między jedną doczesnością, w której zatwierdziliśmy nasze ja, a drugą, w której zatwierdziliśmy Chrystusa, między doczesnością poddaną nam a doczesnością poddaną Chrystusowi. Pierwsza jest stanem choroby, druga stanem zdrowia. Stąd wynika potrzeba lekarstwa dla chorych a potrzeba pokarmu dla zdrowych. Lekarstwem dla chorych jest sakrament Pokuty. Przygnębieni wielką

nikczemności, jakiej zdolna jest natura ludzka w stanie niełaski, za tyż serdecznej skruchy wystarczającej przebaczenie przestępstwa. Ale Bóg dobrotliwy nietylko przebacza nam, lecz daje nam łaski, podnosząc nas do świętości pierwszego człowieka przed upadkiem. Po każdej spowiedzi, zwłaszcza doskonałej, i po każdym żalu, rozumie się, serdecznym, jesteśmy tak niewinni, jak Adam niegdyś przed grzechem i opatrzeni w wielkie łaski, potrzebne do dobrego działania. Lekarstwo odnowiło schorzałą naturę naszą. Ale wróciwszy do zdrowia, nie pozostaniemy bezczynni, nam nietylko wyleczyć się trzeba z choroby, lecz wyleczywszy się rozpocząć życie nowe wewnętrzne Chrystusa. To życie jest stanem zdrowia, a zatem stanem normalnym. Ale w normalnym stanie potrzebuje człowiek pokarmu, a tym pokarmem jest najświętsze ciało Chrystusa. Rozumie się, że ten pokarm tylko dla zdrowych, wiemy, że pokarm zdrowego jest trucizną dla chorego. To też ciało Chrystusowe dla chorych, dla będących w niełasce, jest trucizną, przynosi im śmierć. Wprzódy im lekarstwa potrzeba, pokuty, a przez nią do zdrowia powróciwszy, dopiero wtedy pożywać mogą pokarm zdrowych. Prawda, że właściwie nigdy nie jesteśmy zdrowi i tylko przez szczególną łaskę P. Chrystusa jesteśmy przez krótkie chwile w stanie zdrowia. A nawet wtedy nie jesteśmy zupełnie pewni, czy nie ~~[illegible]~~ trawi nas już nowa wewnętrzna choroba śmiertelna. Dla tego powinniśmy często zażywać lekarstwa, często odbywać pokutę.

<u>Genzano 8. października (9ta godzina wieczora)</u>

Nie wierzyłem nigdy, że byłem czartem zupełnym, a jednak tak jest; byłem nie mniej ani więcej jak całym czartem. Bo cóż znaczyła ta szalona duma moja wobec innych? Nie byłem nigdy dumny z zalet moich, ani z pracy mojej, gdzie zresztą powód był jasno racjonalny albo przynajmniej jakaś uniewinniająca sposobność. Ale ja byłem dumny z tego, że byłem zupełnie jak prawdziwy czart — Boże przebacz mi te straszne rzeczy i zatrzyj ich pamięć zupełnie w myśli mojej.

A że tak było, potwarzywało całe postępowanie moje. Ile razy robiłem nową znajomość, chodziło mi przedewszystkiem o to, aby mi się kłaniała, aby była dla mnie przyjaźnią. Nie żądałem ani chwały ani poważania z moich czynów, lecz pragnąłem pokłonów bez czynów; czyny uważałem za wielkie, bo odemnie wychodziły, a nie na odwrót. Mój Boże, dzisiaj nie wiem, czy śmiać się czy litować się z takiego postępowania. A jednak większą nic w niem nie było śmiesznego, owszem było ono bardzo przykrem dla innych.

Gdy mi nowi znajomi chcieli oddać serca swoje, rzadko je przyjmowałem, i wtedy tylko, gdy czułem do nich sympatyę. W przeciwnie razie odpychałem ich dowodem pogardy. A przecież człowiek dobry przyjmuje każde zbliżenie się innych z wdzięcznością. Och jakże traktowałem ja ludzi.

Nawet najlepszych przyjaciół ignorowałem, czasami, bo do tego zaszedłem stopnia w zaślepieniu, że inni mają mi być przyjaciółmi tylko wtedy, gdy zechcę, gdy ich zapragnę. Gdyby mi Pan Bóg był dał władzę, byłbym rządził jak Neron, lub gorzej jeszcze.

Ale Ty wejrzałeś na upadek mój i na zwodzenie moje, Ty raczyłeś mnie podnieść, wydźwignąć ze strasznej, wszechwładnej niemocy. Toteż ślubuję Ci serce moje, niech ono odtąd Tobie będzie poświęcone. Dotąd było zajęte samo sobą, to jest niczem, dla Ciebie nie było tam żadnego miejsca; niech ustąpi nicość i niech miejsce jego zajmie wszechmoc i życie. Ty jesteś prawdziwem życiem i prawdziwą wszechmocą, a prócz Ciebie nic. Bałwan, przed którym biłem czołem przez tyle lat, leży teraz przed Tobą z twarzą w piasku, jak ongi Dagon Filistyński, niech się nie podnosi więcej, niech przepadnie bez śladu, a Ty N. Panno, opiekunko moja, weź mnie pod szczególną obronę Twoję; niech wespół z Tobą się wymodlę, bo wtedy niewątpliwie Bóg wysłucha mojej

modlitwy. Bądź mi także puklerzem na przyszłość, aby żaden grot nieprzyjaciela mnie nie ugodził. Bo wiesz dobrze, że śmiertelny jestem, i że niezliczone już razy tarzałem się w piasku, okryty śmiertelnemi ranami. Dlatego nie zdejm nigdy puklerza Twego ze mnie i przeprowadź mnie przez doczesności niebezpieczne walki szczęśliwie do królestwa Twego Syna. Zdrowaś Maryo.

Genzano 9. października (10. godzina z rana)

Jak syn marnotrawny wczoraj przyznałem się do winy, a dzisiaj Ojciec zgotował mi ucztę w nieprzebranej dobroci swojej. A już nie mało mi sporządził uczt takich, chociaż nadaremnie, bo za każdą na nowo porzucałem dom ojcowski. Czyż i dzisiaj to uczynię? Uchowaj mnie Boże od tego; niech uczta dzisiejsza będzie ostatnią ucztą przebudzenia, aby wszystkie następne mogły być ucztami miłości. Ale czyż spodziewać się mogę tak wielkiego szczęścia przy nędzy mojej i lekkomyślności?

Cokolwiek się stanie na przyszłość, nie zapomnę słodyczy dzisiejszej uczty: gdy ciało świętego baranka dotknęło ust moich, czułem dziwne wstrząśnienie, jakie czujemy za słowami przyjaciela, witającego nas po latach wielu – tylko czułem je w daleko ~~[illegible]~~ wyższym stopniu i z jakiemś dziwnie pogodnem, cichym uczuciem. A co potem się stało, nawet dobrze nie pamiętam. Nie mogę sobie zdać sprawy, jak święty pokarm stąpił do mego wnętrza, bo nagle czułem się cały tak napełniony, tak przejęty życiem, tak napojony siłą, że nie umiem dokładnie wyrazić szczęścia, jakie wtedy czułem. Bo nadmiarem szczęścia, zdaje się, była nie ta zmysłowa pełnia naszego ja lub doczesnych wrażeń, lecz ta prawdziwa istota bóstwa, której jasno nie pojmujemy, a jednak czujemy w sobie. Otóż czułem w sobie nagle tę pełnię, przejęty jakby drżeniem nowego życia, uczułem się szczęśliwym i młodym, nie chciało mi się odejść od stopni ołtarza i byłbym mógł klęczeć tam wieki, z Jezusem w sercu. Ach, czemuż doczesność nasza tak

ograniczona? czemu śmiertelnicy w tak ciasne, tak pętające skóry jesteśmy zamknięci? czemu uczucie nasze, zamiast że trwają chwilę, nie zamienia się w stan ciągły, wolny od wszelkiej zmienności, od wszelkiego następstwa stanów innych? Ale to nam danem nie jest. Marne chwile dostały nam się w udziale; nie żyjemy w ciągłości, lecz w cząsteczkach, nie żyjemy w teraźniejszości, lecz w tem, co jest jakoby jej pośredniczeniem, w czemś, co już przeszło, zanim nastąpi, co nie jest naszą teraźniejszością, naszą chwilą, naszem uczuciem, lecz marnym cieniem, rzuconym ~~przez~~ od przyszłości w przeszłość. A cień ten igra z dłonią naszą przez chwilkę a gdy go ująć chcemy, za najbliższem, najpierwszem poruszeniem, jak wystraszony motyl, cień zniknął, aby dać się zastąpić przez drugi, również znikomy i również kapryśny. Ale to szczęście nasze, że to cień tylko.

Bo biada nam, gdy cień ten migocący, ulotny uważamy jako naszą rzeczywistość, gdy temu, co jest niczem, jak złudzeniem, przyznamy że jest tworzeniem. Wtedy staje się czemś, tworzy go zatwierdziciel. A nie mogąc się utrzymać, bo ich jest koniecznością jego przyjąć uchodzić w oczach naszych za coś trwałego, za fałszywy obraz równowagi i spokoju, zabiera nas ze sobą. Wtedy biada nam, biada. Wtedy dzieje się z nami tak, jak z wędrowcem, który przechodzi przez zamarzłe morze. Gdy odchodzi od lądu, lód przylega mocno do brzegu, i zaufany niezmiennej krystalicznej równinie, idzie śmiało naprzód, wesoło swego. Niema wątpliwości, że ma coś stałego pod sobą. A tym czasem gdzieś daleko już odtaja lód i odrywa się od reszty, a wędrowiec chodzi po nim, nie wiedząc że na olbrzymiej, kilkamilowej znajduje się krze. Kra jego jest tak wielka, że mu wydaje się siłą odtykającą od brzegu – kilka godzinny marsz przekona go niebawem, że całość uleci, że to kra tylko, prawda że wielka, ale zewsząd otoczona wodą. I kra ta jedzie po falach, naprzód

i naprzód a potem się szara zdaje, że stoi, dopiero później, gdy już na otwartem morzu, przekona się o wspaniałem położeniu swojém. A i o za wczas uledzi, że uledy wziął za niezgodności, fałsz za prawdę?

8. godzina (z wieczora).

Zdaje mi się, że tak postępujemy przez życie całe. Bo skąd te wieczne dziecięce, te ciągłe rozczarowania, dolewające nam tyle żółci do puchara życia? Czyż nie z naszej tylko przyczyny? Przychodzimy nagi na świat, a wnet powijamy się w gęstych szatach. Potem gniewamy się z otwarty tych szat, lub z tego, że za ciasne, albo za ciężkie. Po co tyle ~~trzeba~~ włożyć? Sami zatwierdziliśmy nasze złe, a potem biadujemy.

Nie trzeba więc zatwierdzać nędzy naszej. Bo wszystkie nieszczęścia nasze z niej biorą swój początek. Na jej miejsce trzeba zatwierdzić Boga żywego. Wtedy człowieczeństwo nasze staje się prawdziwem jestestwem, bo tylko o tyle jest, o ile Bóg w niem przebywa. Wspominałem już obszernie o nędzy mojej; ubolewałem nad jej rozgałęzioną złością. Bo ona cała moją wypełnia istotę. A ponieważ istota moja na trzy pola się rozpada, przeto trzy także nędzy mojej istnieją gałęzie. Na każdem polu inna nędza, ale w gruncie wszystkie trzy nędze jedną są, tak ~~jak~~ każdem z trzech pól istoty mojej to samo ja swawoli.

Skoro jednak trzy owe strony mojego ja na zewnątrz oddzielnie istnieją, przeto każdą z osobna wyjść należy, niejako każdą z trzech gałęzi osobno wykarczować, a na jej miejsce zasadzić ~~[illegible]~~ drzewa i kwiaty. Przyjdzie zaś dużo nam łatwo tego dokonać, ponieważ Chrystus Pan w doczesnej swojej postaci, ~~moje~~ przybrawszy naturę ludzką, wypełnił te same, w naszej naturze, strony wyjaśnia.

Gałęzie rozumu naszego, dzięki tak myśli zastąpimy mądrością Chry-

stusa. Tego nie można inaczej dokazać, jak za pomocą modlitwy. Powinniśmy prosić Chrystusa, prosić nieustannie, o mądrość nadprzyrodzoną, która nam niezbędnie jest potrzebną do życia nadprzyrodzonego.

Potem wszystkiem sercem powinniśmy ożywić. Do tego zostawił nam Chrystus Pan środek najskuteczniejszy w Przenajświętszem ciele swojem. To ciało nawet fizycznie staje się pokarmem dla naszego ciała, oba ciała się łączą, serce Chrystusa spaja się z naszem sercem. Wtedy dzieje się z nami to, co z latoroślą na winnej macicy. Soki żywotne Chrystusa krążą po całem naszem jestestwie i nawet fizycznie przeobrażają je zupełnie. Zatem i przekształcenie idzie serca naszego w nadprzyrodzone uczucia.

Gdy zatem i rozum i serce nasze już wydostały na sferę nadprzyrodzoną, wtedy przez działanie całego Chrystusa i wola nasza również ulega przeobrażeniu. A gdy postępujemy w życiu nadprzyrodzonem, dochodzimy do tego, że na koniec nie my, lecz Chrystus w nas działa.

Wtedy rozum, serce i wola nasza zupełnie już zostały uchrystusowane. Akty wiary, nadziei i miłości dochodzą do zupełnej doskonałości.

Chrystus osobę miał Boga, ale oprócz natury Boga miał i naturę ludzką. Otóż zjednoczenie się nasze z Chrystusem powinno się zacząć od złączenia się naszej natury z człowieczą naturą Chrystusa. Gdy złączenie ~~się to~~ stało się zupełnem w trzech dziedzinach rozumu (wiary) serca (nadziei) i woli (miłości) wtedy dalszem jej następstwem będzie zjednoczenie się boskiej osoby Chrystusa, tkwiącej w głębi, po za naturą ludzką, z naszą osobą, tkwiącą tak samo w głębi za naturą naszą. Gdy zaś osoba nasza zupełnie złączy się z Bóstwem, wtedy mistyczne zjednoczenie zupełne i dokonane.

Genzano 10. października. (10 godzina z rana)

Nowy dowód przewrotności mojej, a dla mnie wielce bolesny. Widzę się na lepszej drodze i czuję Łaskę Najwyższego nad sobą. Uznaję to, nie żeby się pochwalić, bo prawdopodobnie nikt tego czytać nie będzie, ani też nie szukam z tego chluby przed sobą samym, bo wiem, że nie ma w tem najmniejszej ~~po~~ mojej strony zasługi. Zapisać czyn boskiego miłosierdzia, uznać go i cieszyć się z niego, grzechem nie jest, przeciwnie bardzo to pożyteczne do powzięcia wyobrażenia o niezmierzonej Boskiej dobroci. Zestawiając to, czem jestem ~~teraz~~ i co mi Bóg dał obecnie, z tem, czem byłem niegdyś i na co zasłużyłem, nie mogę wstrzymać się od wydania okrzyku zgrozy a zarazem podziękowań, że Bóg nie postąpił ze mną ~~podług~~ według sprawiedliwości swojej, lecz według dobroci swojej nieprzebranej.

Rozumowanie to wydaje się tak jasnem i prostem, a uczucie zeń wypływające, tak naturalne i niewymuszone, że zdaje się, jakoby każdy w położeniu podobnem do mojego te same powinien mieć myśli i te same uczucia. A jednak ja niezawodnie stanowię pewny wyjątek. Czy uwierzy kto, że tę tak szczerą myśl przewróciłem do góry nogami. ~~Wczoraj~~ Po śniadaniu wróciłem do pokoiku mego, wyjrzałem na ulicę, a ponieważ naprzeciwko okna mego jest kościół a drzwi otwarte, odległość zaś tak mała, jak szerokość ulicy, przeto myślą przeniosłem się do wnętrza kościoła a jak gdyby pokoik mój był jego przedsionkiem posłałem do Najwyższego kilka westchnień, stojącego przed N. Sakr.

Potem stałem przy oknie, nie pamiętam już, czem zajęty, i rozkoszując się w pewnem błogiem, niewytłumaczonem uczuciu szczęścia i zadowolenia, które od dni kilka mnie całego ogarnęło. Zdaje mi się, że Bóg chce mi wrócić dziś wyobrażenie o spokoju i szczęściu ducha, które czekają mnie, gdy wejdę na Jego drogę i na niej wytrwam. Naturalnie, że myślenie moje, które wyszło na nie-

zupełnie zatrzymać się nie może, i jak młyńskie kamienie gdy nie mają ziarna, siebie same mielą, szukając ciągle czegoś a nie mogąc nic znaleźć dozwolonego, zwróciło się do stanu mego dawnego i zrobiło go przedmiotem ruchu swego. Jednakże impuls tego myślenia był zupełnie czartowski, bo jaki był przebieg jego i jakie rozumowanie: Dobrze ci teraz, jesteś na doskonałej drodze i dojdziesz do perfekcyi. Przynajmniej w porównaniu z Twoim dawniejszym stanem, już teraz posiadasz nie małą perfekcyę. Ale nie bez przyczyny. Perfekcya dzisiejsza ma przyczynę swoją w Twoim stanie dawniejszym; wszystkie dawniejsze grzechy Twoje przygotowały stan obecny. Pan Bóg dozwolił ci [illegible] popełniać te występki, abyś mógł stać się doskonalszym sługą jego i dobrym wykonawcą jego woli. — To jak ze snu okropnego przebudziłem się i z otworzonym wzrokiem ujrzałem mowę tak silną i czystą, jak gdyby mi się przeoczyło się wiele na świecie. A przecież żyć nie może i nie powinno! Na szczęście bluźnierczy ten prąd myślenia tylko cokolwiek krótko potrwał, ale prawie dosyć długo, że siedziałem na nim i nie spostrzegłem się od razu na jego fałsz — dopiero gdy mnie postawił nad samą przepaścią, ocknąłem się i cofnąłem przerażony. Dawno już również bluźnierstwa, a dużego również głupia myśl nie postała w mej głowie. Jak gdyby Wszechmocny mnie potrzebował, mnie nędznego, na nic zdatnego! Przeciwnie ja powinienem podziwiać dobroć tego, że mimo błędów moich, mimo słabych sił moich, mimo skalania całej mojej istoty, jeszcze czeka nawrócenia mego i bezustannie mi do rąk podaje sposoby i środki, aby się doń zbliżyć i zebrać łaski. To wszystko, mój Panie.

Rzym 17. października (8 godzina z rana).

Tydzień temu minął ostatni dzień rekolekcyi; zakończyliśmy je 11-go b. m. w rano, a już zdaje mi się i że lata mnie przedzielają od owych chwil szczęśliwych. Jakże jest, były to chwile szczęśliwe, gdzie żadne marne słowo nie odbijało się od uszy mojej, ani, o ile wiem, żadne, z nich nie wychodziło. Bo ja próżne tylko wyrzucam słowa. Jakże mi przykro było, gdy w ostatni wieczór rekolekcyi pozwolono przerwać silentium podczas rekreacyi. Chociaż to tylko było pół godziny, wieczór przemilczałem się, jakgdyby trwała nieskończenie a gdy mnie zaczepiał kto lub wciągał do rozmowy, zdawało mi się, że z pięknego snu przebudzony znowu o twardą uderzam się rzeczywistość. Tak jeszcze w pierwszych było dniach, które nastąpiły po długiem milczeniu — ale dzisiaj przywykłem już do roztargnień i marnych rozmów — ostatnie dni w Spirito przepędziłem w niezwyczajnej oschłości.

Na szczęście opuściliśmy mieszkanie, gdzie sam sposób życia i szczupłe mieszkanie i ciasnota stąd spotykania się na wzajem dostarczały aż nazbyt obfity materyał do myśli niepotrzebnych a mniej jeszcze potrzebnych ~~przygód~~. Przedwczoraj wieczorem wróciliśmy do Rzymu i siedzimy znowu zamknięci — jakiem szczęśliwy z odzyskania celi mojej. Pod oknem mojem ogródek, za nim kilka domów, potem znów ogrody, na prawo i lewo część Rzymu, a w głębi, naprzeciw okna mego, na tle wiecznie uśmiechniętego lazuru, wznosi się Monte Mario z grzbietem, obrosłym cyprysami, a na stoku dźwigającej [nity] bieleje się niby ozdobna willa Mellini. A nad tem wszystkiem niebo najpiękniejsze, uśmiechnięta pogoda wiecznie — tylko nad sercem duchowieństwa takie uśmiechy których nie było.

Toteż nie dziw, że mnie się w usposobieniu zmieniłem, wczoraj byłem jak odrodzony, a chociaż podczas spowiedzi nie zmazałem bardzo byłem suchy i wobec tego nie mogłem na żal zdobyć się, nieskończony, dzisiaj

połączony się po tygodniowej przerwie na nowo z ukochanym Zbawicielem moim
jestem niezmiernie szczęśliwy. Podczas mszy św. i po niej zrobiłem gorące postanowienie
aby dzisiaj na nowo rozpocząć życie wewnętrzne z Jezusem, aby od dnia obecnego
tylko w Nim żyć i przez Niego i zapomnieć owego oddalenia, w którem
trwałem przez lat tyle a trwa nawet dzisiaj ja moje. Ale czyż zdołam do-
konać tego, sam z siebie? niepodobieństwo oczywiste, a nawet grzech nowy, po-
kusić się o to z własnych sił i z własnej woli. Nie, nie mam już woli,
nie mam zamiaru żadnego, nie mam nic mego, tylko Twoje wypełniam roz-
kazy i w nich jedynie znajduję szczęście moje, o Jezu. Odtąd regularnie zapisy-
wać będę moje usterki, przewinienia i niedoskonałości umysłu mego, ażeby dojść do
jasnego poglądu na obecność nędzy mojej. Obraz jej będzie mi za przyczyną bardzo
pomocny do coraz większego uważania nad sobą, do coraz częstszego udawania się
o pomoc do N: Panny i do Jej Syna a Zbawiciela mego.

Brzeg 18. października (8. godzina z rana)

Dzisiaj drugi raz po piątkowej spowiedzi przystąpiłem do Pańskiego Stołu: jaka dziwna
w nim moc i słodycz, im częściej go pożywamy, tem więcej pragniemy, i ledwo nasycimy
już nowy głód czujemy we wnętrznościach naszych; ledwo nasycimy pragnienie nasze,
łakniemy na nowo. Jest to dowód nieskończonej słodyczy tego anielskiego chleba.
Bo też nie mógł Bóg dać nam innego chleba, jak ze smakiem niezgłębionym,
niewyczerpniętym. Wszak to istotne Jego wcielenie, wszak to Nieskończoność Jego
pod skończoną osłoną. Cóż więc dziwnego w tem, że ciągle łakniemy, chcąc pojąć
bezustannie tę żywą wodę. Nasycić się jest zrównoważyć nas z tem, co nas-
ycić. Ale jakże dokonać tego w tem świecie, gdzie jesteśmy więźni w ciasne kresy
doczesności? Nieskończoność nie pomieści się w tak szczupłem ogrodzeniu, ona granic
nie znosi. A jednak ma nas wypełnić, bo tak wyrządziła dobroć Jego.

Gdybyśmy wyjęci byli z pod praw doczesności, gdybyśmy nie obracali się w przestrzeni ani nie żyli w czasie, gdybyśmy wprost oglądali Jego, bez zasłony, twarzą w twarz, wtedy nie tęsknilibyśmy więcej, wtedy pragnienie nasze byłoby zgaszone a wszystkie nasze ciało w sytości, podczas gdy teraz wzdychamy ~~raczej~~ w nadziei nasycenia się, niżeli w niem samem. Wtedy sytość owa niebieska nie będzie chwilą przemijającą, zamknioną między dwiema tęsknotami, między tą, która ją poprzedza, a tą, która z niej się rodzi, lecz będzie to stan nieprzerwanej ciągłości, po którym nie nastąpi nic więcej, bo on wszystkiem jest, bo on całkowitą jest pełnią.

To już nie będzie raz jakiś, lecz trwanie bezczasowe, to nie będzie kształt jakiś wypełniony, lecz po za wielki kształt wyznający niezmierzoność. Będzie to ciągła teraźniejszość, nieprzerwana wszechobecność. Tam skosztujemy całej nieskończoności, tam odda nam się cała na raz, na zawsze, aby ciągle być z nami. Ale tutaj pomieścić się w nas nie może, nawet przystąpić nie może. Tylko małemi kroplami sączy się do wnętrza naszego, małemi cząstkami – prawda, że kropla ~~taka~~, cząsteczka taka wypełni nas zupełnie, da nam całkowity smak wieczności i Bóstwa, ale na chwilę tylko, bo tylko chwilami żyjemy, nie w ciągłości trwania. To też po każdej takiej chwili, oderwanej od wieczności, następują zaraz chwile codzienne, i zalewają ją mętnemi falami. Cóż więc dziwnego, że pragniemy, że wzdychamy za tą ojczyzną przeczystą, która nam kawałkami tylko życie udziela a my ani na chwilę nie chcielibyśmy oderwać ust naszych. Ale to niepodobna na tym świecie. —

Rzym 19. października (8. godzina z rana)

Wczoraj wieczorem medytowałem nad niektóremi ustępami ewangelii ś. Jana. Widzę je teraz w zupełnie innem świetle, jak niegdyś. Oto jeden z nich: Bóg nie posłał Syna swego, aby sądził świat; ale iżby świat był zbawion przezeń. (Rozd. 3) Bo

tez nie sądzi Bóg nikogo. Gdyby bowiem chciał sądzić, musiałby potępić wszystkich bezlitośnie. Taka jest słaba i przewrotna natura. A potem mógłby się każdy potępiony skrzywdzonym, czułby się niewinną srogiego gniewu ofiarą i mógłby zarzucać w głupstwie swojem: Oto sędzia i skarżyciel w jednej osobie, nie dziw, że sędzia przeciw mnie zawyrokował.

Żeby nie zostawić najmniejszego cienia skargi potępionym, najmniejszej wymówki, złożył Bóg los ich w własne ich ręce; każdy siebie samego ~~potęp~~ oskarża i na siebie wydaje wyroki, a prawdopodobna, że każdy dla siebie ten który sprawiedliwym, niż który jest niesprawiedliwym dla innych. W jaki sposób samosąd ten ujść dobyć, wykładają Dalsze ustępy tegoż rozdziału.

Syn przychodzi na świat, aby go zbawić. Oczywiście, że świat potępiony, osądzony już dawno, bo zbawienie jest aktem przebaczenia, a przebaczenie następuje po osądzeniu, po uznaniu winy. Rodzaj ludzki potępiony, wskazany na śmierć, jak niegdyś Izraelici w puszczy na ukąszenie jadowitych wężów. Ale jak wtedy P. Bóg proźbami Mojżesza zmiłowany dał się ubłagać i ~~przykaz~~ podwyższyć kazał węża na wybawienie potępionych, tak i teraz z nieprzebranego miłosierdzia swojego daje środek ratunku, a tym jest wstawny ~~Bóg~~ Syn jego, mający być podwyższony na krzyżu, jak niegdyś wąż spiżowy na puszczy, aby każdy, co nań wejrzy, zbawion był a nie zginął.

Ta misya Syna Bożego: zbawić już potępionych; nie na sąd przychodzi bo sąd już dawno się odbył. Po nim wydano wyrok a wyrok ten brzmi: śmierć. Ale i tego wyroku nie wydał Bóg, jako sędzia i oskarżyciel w jednej osobie, bo człowiek sam go wydał, lub raczej wyrzekł. Pan Bóg stworzywszy człowieka postawił go w środku między wiecznem życiem a wieczną śmiercią, wolny mu pozostawiając wybór. Uprzedził go wcześnie, jakie nań spaść może niebezpieczeństwo,

pozwolił mu samodzielnie się zdecydować. Człowiek się zdecydował na śmierć, chociaż mógł z większą łatwością zdecydować się na życie – cóż w tem winna Boga, lub nawet wyrok tego? Odtąd jesteśmy w śmierci, w ciemnościach.

Ale Bóg zlitował się i dał nam możebność zmartwychwstania, możebność przejrzenia. W odchłań ciemności przyszła promień słoneczny, nie na to, aby potępił ciemność, bo ta już oddzieliła niebie, lecz na to, by nam umożebnił powrót do światła. I znowu odbywa się ta sama próba, co niegdyś z Adamem, tylko daleko cięższa. Jesteśmy w ciemnościach – nie możemy się jak Adam, zdecydować ze światłem lub ze ciemnością, bo nie stoimy w środku, lecz pogrążeni już w ciemności, mamy oświadczyć, czy chcemy na dal w nich pozostać, czy też przejść do światła. To nie sąd żaden, lecz akt najwyższego miłosierdzia, kredyt wygraniem ostatni powrót. Gdy zaś pozostaniemy na dal w ciemności, czynimy to z własnej woli, nikt nas nie sądzi, lecz sami skazujemy siebie na trwanie w ciemnościach. Kto zaś oświadczy się ze światłością, dostępuje zbawienia. Ale żeby oświadczyć się za światłością, trzeba w nią uwierzyć: kto nie wierzy, oczywiście nie może być zbawiony. Słusznie mówi o nim Jezus: że już potępiony jest; to znaczy, że pozostaje na dal w stanie potępienia, odpychający rękę, która mu wyciągnięta. O jak sprawiedliwość Boża wypełnia z miłością rozstrzygnienia, jak ona się zbliży nie może na to, aby sądzić kogo, lecz każdego własnym postawić sądzić. –

Rzym 20. października (8. godzina z rana)

Dzisiaj na nowo przystąpiłem do Komunii ś. trzeci raz po piątkowej spowiedzi. Co za rozkosz w tem częstem przystępowaniu do Pańskiego Stołu, nigdy nie wyobrażałem sobie, że tam tyle słodyczy a zarazem tyle mocy i treści. Bo to treść wszelkiej treści; extrakt tego, co jest, pierwiastek rzeczywistości, spotęgowany w nieskończoność.

Tylko często biorąc udział w tej nadziemskiej biesiadzie, objąć można owe

głębokie słowa Zbawiciela: Jam jest chleb żywota. Czemże chleb, jeżeli nie pierwiastkiem i zasadą życia? Wszak cała doczesność wróciłaby do nicości swojej, gdyby zabrakło chleba? Wszak to chleb ową osią potężną, na której obraca się koło świata, owem wrzecionem niezmiernym, na które nawija się olbrzymia nić wieków?

A jeżeli człowiek przyrodzony, zagrzęzły w grubej zmysłowości, nie waha się odpowiedzieć, że chleb jest wszystkiem dla niego, początkiem, z którego wychodzi w drogę, środkiem, za pomocą którego zdąża naprzód, końcem ostatecznym, do którego zmierza – jeżeli nie rumieni się za taką odpowiedź a nawet prawdę mówi ze swego stanowiska, bo tak jest, choć tak być nie powinno, czyż my nie odpowiemy tak samo, tylko zupełnie słusznie i zupełnie prawdziwie, przenosząc wytłumaczenie życia przyrodzonego do nadprzyrodzonych stosunków.

Żadne życie bez pokarmu ostać się nie może. Tylko Bóg wyjęty z pod tego prawa, bo on jest życiem i pokarmem zarazem, ale wszelkie jednostkowe, stworzone życie, choćby najdoskonalsze, choćby najbliżej do Boga zbliżone, potrzebuje pokarmu. Co się raz zaczęło, powinno ciągle się zaczynać, jeżeli nie ma ustać. Stworzenie tylko tym sposobem istnieje, że Bóg je ciągle na nowo stwarza. Nam zdaje się, że o własnych żyjemy siłach, a to siła Boża ciągle nas tworzy. Ta ciągłość tworzenia objawia się w sposób zmysłowy jako ciągłość karmienia, bo czemże karmienie, jeżeli nie zastępowanie starej substancyi substancyą nową. Stąd bez pokarmu fizycznie żyć niepodobna, chyba że cudem Bóg tworzenie inaczej wyrazi. Ale to byłby cud, i często się zdarzył rzeczywiście. W zwykłym trybie rzeczy pokarm jest środkiem, którego Bóg używa w tworzeniu codziennem.

Ale z naszą istotą duchową ma się rzecz zupełnie tak samo, jak z naszą istotą cielesną. I ona sama z siebie niczém jest, a jeżeli jest rzeczywiście czemś, to jedynie, że Bóg ją wyrwał z nicości i czemś stworzył. Ale za tym pierwszym

aktem stworzenia idzie nieustający szereg nowych aktów: stworzonymy naszą istotę duchową stwarza ją Bóg ciągle na nowo. A stwarzanie to objawia się jako karmienie, a pokarmem nie innego, jak sam Bóg. Czyż to nie myśl głęboka jak ocean, straszna jak przepaść bezdenna. Bóg umiłował nas do tego stopnia, że sam stawa się pokarmem naszym, że sam własną swoją istotą nas napawa. Stąd nieopłacone znaczenie Bożego chleba. On powinien być całą naszą żywnością, ~~naszym~~ początkiem naszego dzieciństwa, środkiem naszego dojrzenia, celem naszych zamiarów, powinien być alfą i omegą dla każdej chwili żywota naszego, tak jak cielesny chleb jest alfą i omegą dla życia przyrodzonego.

Rzym 21. października (8. godzina rano)

Ale pokarm tylko dla zdrowego organizmu przydatnym jest, ~~i~~ chore~~mu~~ ~~szkodli-~~ ~~wym jest bo~~ też najmniejszej nie przynosi korzyści, a tem samem szkodliwym jest, bo nie mogąc się udzielić organizmowi, przechodzi przezeń bez skutku, bez zmieszania się z nim, zostawia go stale głodnym. A ostatecznie chorobę stałą gdy, nie przedsię wziąwszy żadnych środków ostrożności, nie dać jej leków żadnych, znaczy to samo, co pogorszyć ją i dodać jej sił nowych a zniweczyć nadwątlony już organizm.

Potrzeba więc oddalić chorobę, potrzeba najpierw organizm przywrócić do normalnego stanu, a wtedy dopiero zacząć go karmić. Ale jaki jest stan normalny naszego jestestwa? jakie są cechy jego zdrowia i siły? Cechy te zawarte w trzech pierwszych błogosławieństwach, wyrażonych w kazaniu na górze: Mamy być ubodzy w duchu, potem być cisi, a wreszcie łaknąć sprawiedliwości. Każde z tych trzech znamion inaczej właściwem jest dziatkom, a dziatek takich w jestestwie naszem mamy trzy. Ubogość tyczy się rozumu i nie znaczy mieć własnego zdania, bo to przymiot kuszącego się o równość z Bogiem, to zguby dar węża.— Cichość i panowanie z nią połączone tyczy się serca naszego, Chrystus Pan powie-

dział o sobie, że jest czysty i pokornego serca. Nareszcie takiéj sprawiedliwości powinno być wyrzeczenie woli naszej: wszystkie nasze mają być sprawiedliwe. Ale tylko te wszystkie będą sprawiedliwe, które nie z naszej wypływają woli, lecz z woli Boga. O każdym z trzech działów można napisać tom cały, ale na cóżby zdało mi się pisać tomy i wykładać samną teoryę, kiedy jéj nie posiadam w praktyce. A przecież tylko o praktykę chodzi, a nie innego.

Powinienem więc odrodzenie się moje zacząć od oczyszczenia trzech dziedzin jestestwa mego: powinienem oczyścić rozum mój z bogactw a wypływającéj stąd pychy, uczynić go ubogim i przepasać w pokorę, która ubóstwu przystoi; potem powinienem serce pozbawić uczuć światowych, nieporządkowanych i na ich miejsce tylko jedno mieć uczucie, miłość Ukrzyżowanego. Wtedy niezmierne szczęśliwości nastąpi pod czystym pokojem. Nareszcie wola moja powinna wyzbyć się zupełnie, jéj miejsce ma zająć wola Ojca, a jéj sprawiedliwość ma być normą wszystkich moich czynków. Dopiero dokonawszy téj pracy we wszystkich trzech dziedzinach, dopiero wtedy dojdę do stanu normalnego i dopiero wtedy święte ciało Twoje stanie się dla mnie prawdziwie żywym i skutecznym pokarmem.

Ale jakże dokonam tak wielkiéj pracy? nawet najmniejszéj cząstce nie podołam? Jeśli Ty jéj nie zrobisz dla mnie, pozostanę chorym na sercu. Trzydzieści lat leżę nad stawem [illegible], ale sparaliżowany we wszystkich członkach moich, ani sam do niego wrzucić się mogę, ani nie mam nikogo, coby mnie wrzucił. Tylko Ty mój Boże uzdrowić mnie możesz, uczyń to, jak najprędzéj!—

Rzym 22. października (8. godzina z rana)

Błogosławieni miłosierni! Dla czegoż miłosierdzie tak wielka cnota, dla czegóż tak rzadka? Nie lubimy zazwyczaj téj cnoty, wzdrygamy się przed nią, niechętnie robimy się jéj pod-

miotem, a pierwsze mniej chętnie stawamy się jej przedmiotem. Rozważmy dwa te punkta z osobna. Najprzód wykonywamy ją niechętnie.

Prawda, że powierzchowna litość bywa często napotykać można wśród ludzi, ale to nie miłosierdzie prawdziwe. Potrzeba rozróżnić dwa stopnie tego uczucia: litość myślną, przyrodzoną, bezwiedną, którą i zwierzęta mają niekiedy, a która jest bezmyślnem, fizycznem poruszeniem serca naszego, powtóre i litość spotęgowaną, nadprzyrodzoną, okazywaną wrzyślnie, która jest cnotą miłosierdzia. Pierwsza jest łechtaniem, drażnieniem umysłowości naszej - druga aktem zaparcia się samego siebie i wdzięczności wśród wielkich boleści. Bo gdy nam samym dobrze się wiedzie, lub gdy lepiej pozostawiamy od tych, co do nas uciekają się, wtedy snujemy nowego zadowolenia dla naszego już zupełnie zadowolnionego ja, że innym, niższym, nieszczęśliwszym od nas pomagamy jestem szczęśliwy, będźmie my nieszczęśliwi - ja się cieszę, a wy i wy cieszcie się, oto nasza maksyma: tak nam się chce, niech tak będzie. Zatwierdzeni w uczuciu własnej siły, pomagamy słabszym, bo to pomaganie jest nowem siły naszej zatwierdzeniem, nowem na pozór objawieniem.

Ale zupełnie inaczej rzecz się ma z miłosierdziem: ono nie z poczucia siły początek swój bierze, lecz z uczucia nędzy i własnej niemocy. Z tem łączy się uczucie własnej niegodności, niklemności. Prawdziwy chrześcijanin uważa siebie za najgorszego, najpośledniejszego - wszystkich innych za lepszych od siebie mając. Przeto z takiem uczuciem wobec obcej nędzy obficie dwa uczucia: jakiś, zawoła, ja w dostatku, w zadowoleniu, w pomyślności i spokoju, a inny, lepszy odemnie, doskonalszy i pod każdym względem wyżej zasługujący na łaski niebios, pogrążony w niedostatku, w nędzy, w niepamięci i strachu. A więc, zrobię go takim, jakim sam jestem, udzielę mu mego pokoju, mego szczęścia, a gdy nie wystarczy skarb mój na obydwóch, odstąpię mu cały, aby jemu było dobrze, bo mnie może

być złe, jam zupełnie niegodny. Różnica między tym punktem widzenia a przywidzo-
nem uczuciem pośredniej litości jest [illegible] i jaskrawa.

Na tę cnotę nigdy się nie zdobyłem, czyniłem wiele rzeczy pod wpływem litości, ale do chrześcijańskiego miłosierdzia nigdy się nie wzniosłem, bo nie mogłem się nigdy z mojem ja rozstać. Tego dowód wyraźny w tem, że sam będąc w utrapieniu, niedostatku, niezadowoleniu, czy fizycznem czy duchowem, na ludzkie współczucie nie zdobywałem się, a bardzo to naturalnem, bo gdy źródło przywidzone ~~współczucia mego~~ wyschło, musiały wyschnąć i strumyki przywidzonej litości z niego płynące. Źródło zaś nadprzyrodzone nigdy nie wysycha, gdy się raz w nich ~~grunt~~ ziemi zdobyło, owszem im więcej ziemia przeszkadza, tem bujniej bije. Uderz, mój Boże, cudowną laską w skałę serca mego, niech z niego tryśnie zdrój miłosierdzia obfitym strumieniem.

Rzym 27. października. (8 godzina z rana.)

Jakiem dzisiaj głodny chleba niebieskiego! czuję wyraźnie, że ~~czegoś~~ czegoś nie dostawa duchowi mojemu, że w nim czuć jakaś niezaspokojona, jakieś pragnienie nieugaszone. Nie przystąpiłem dzisiaj do Pańskiego stołu, chociaż spowiednik pozwolił mi trzy razy na tydzień zasiadać do tej biesiady. W niedzielę byłem pierwszy raz po ostatniej spowiedzi, ale ~~—~~ dzisiaj (Wtorek i nie pośrednio w Czwartek ~~są~~ są to dni moje wyznaczone) już nie poszedł. Pozbawiłem się dobrowolnie dwóch chwil niezmiernej szczęśliwości, postradałem je przez lekkomyślność niepojmowaną.

Nie wiem jak wyrazić nieczułość moję ani nie znam słów dość silnych aby oznaczyć wielkość niegodziwości mojej. Oto, co się stało. Skłamałem wczoraj na przechadzce dwa razy. Zrazu nie widziałem w tem nic nadzwyczajnego, i śmiele piłem kłamstwo jak wodę, coś więcej dziwnego, że mi zbliżone było w przywidzenia żywiole i wcale mi się skrupułu nie wydawało. Dopiero podczas wieczornej medytacji,

czytając ustęp z życia S. Teresy, ujrzałem nagle na krysztale duszy mojej dwie obrzydliwe plamy, jakby rdzą wytworzone. Boże przebacz mi, że mówię o krysztale duszy mojej; niegdyś, gdy wyszła z rąk Twoich i obmyta została wodą Ducha S. była przezroczystą, jak kryształ, ale tylko na chwil kilka, bo od pierwszych lat młodości aż do dnia dzisiejszego grzeszyłem uparcie i rozmyślnie. To też od dawna zbrodniczą dłonią zgruchotałem Twoje dzieło i z pięknie wykonanego, zupełnie gładkiego i przezroczystego kryształu postały niekształtne kawały, porozrzucane i stłoczone jadem nieprawości moich, zbryzgane i zwalane do niepoznania. Ty jednak nie opuściłeś mnie, mój Boże, nie odrzuciłeś mnie precz od oblicza Twego, mnie z niezliczonym ogromem zbrodni moich, lecz niezrównany w miłosierdziu, nie zrażony w cierpliwości Twojej, litośną dłonią złożyłeś na nowo resztki zgruchotanego jestestwa, nową mu nadając formę.

A ja, szaleniec nędzny! co dzień rozwalam, co Ty składasz, co dzień rozpraszam, co Ty zbierasz; co dzień kalam, co Ty oczyszczasz. W Sobotę oczyściłeś mnie, w Niedzielę nakarmiłeś i nową sukienką okryłeś nagość obrzydliwości mojej, a już w Poniedziałek zepsułem wszystko na nowo, zrobiłem dwie straszne plamy, nie licząc ~~liter~~ już mniejszych, które również chyba, chociaż ~~[illegible]~~ zwłokiem przez grzech przystępującym dojrzeć ich nie mogę. Okropne plamy! Takich już ~~od~~ dawna nie popełniałem. Czytając o S. Teresie, chciałem, jak ona, wyobrazić sobie duszę moją niby szybę zwierciadlaną, abym w niej ujrzał postać Zbawiciela. Przyszło to, ale tak krótko, jak ~~[illegible]~~ drgnienie rzęsy, zdawało mi się, że On sam na kryształowej szybie, nieco pochylony, z krzyżem na barkach, jakoby patrzący na mnie. Ale to chwila jedna, tak krótka, że słowami wyrazić jej nie umiem, potem nic nie widziałem, tylko zamgloną powierzchnię, tam gdzie przedtem widziałem przezroczyste szkło, a ja po na krawędzi tej mglistej ~~[illegible]~~ tablicy

wyciągnięta łapa, czarna, o długich, zakrzywionych pazurach, a rzucę po niej ukazała się twarz, tak przerażająca brzydkością swoją, że o mało co nie krzyknąłem na cały głos mój. Wstrząsnąłem tylko konwulsyjnie: ś. Piotrze z Alkantary, ora pro nobis, powie- zniknęło widzenie, a jam zagłębiłem się w cudownych ~~ustępach~~ stronach ś. Teresy, aby do reszty sobie przykre myśli wybić z głowy.

Wtorek 1. listopada (8. godzina z rana)

Wczoraj wypowiedziałem na Spowiedzi wszystko, co mi ciężyło na sercu, i powody, dla których przez tydzień cały wskazałem się na głód przy Stole Pańskim. Myślałem, że Jezus przez usta Kapłana odpowie mi: spełniłeś obowiązek, bo tylko czysty może przystąpić do mnie – zamiast tego użył mi słodkie wymówki, dla czego przez czas tak długi usunąłem się z więzienia, wzgardziwszy do chwili przybyć u stóp Kapłana. Wymawiał mi brak ufności, brak zaufania dla niego i tak jest rzeczywiście. Mimo tak widocznych i tak licznych łask Chrystusa Pana jestem zimny jak głaz i niewzruszony jak granit. Co się to stało z biednem sercem mojem. Był przecież czas, gdy i ono było miękkiem i otwartem, boć zatwardziałych serc nie tworzysz, mój Boże, byłaby to potworność, która nie może wyjść z Twoich rąk dobrotliwych. Ale z niewiadomej przyczyny dzieje się to, co spotkało gałązki drzewa mego; niegdyś małe pomarańczki, pełne wdzięku, dziś stwardniały jak drzewo i przechodzą nietknięte przez palce moje. One mogły stać się również słodkie i również soczyste, jak starsze siostry, ale zaledwo się poczęły, stoczył je czy mróz zimny czy robak nieubłagany. Spadły na ziemię oderwane od szypułki swojej a przez nią i od soków matczynego drzewa, nie mając znikąd pokarmu, skazane wyłącznie na przebywanie w sobie, zmarły w sobie: delikatna skórka stała się z dniem każdym twardszą i wmawiała się z dniem każdym wewnątrz, środek zaś małego jądra zamienił się w kawał cegły,

potem i ten kwiat zniknął po woli, przemieniając się coraz więcej w drewniejącą skorupę a zostały się tylko jakieś resztki, ~~w której~~ jakiś orzeszek, pełen goryczy, w którym nikt nie domyśliłby się [bytego] zarodków słodkich soków. Tak i moje serce zmarniało. Wcześnie oderwane od drzewa zamieniło się w twardą, nieprzeniknioną, obumarłą massę, a jego soki wyschły do szczętu. Coraz więcej szukając na życie w sobie, nie mając z nikąd pożywienia, zamarło zupełnie i teraz ono do niczego. Ile cierpień doznałem dla tego nieszczęsnego stanu. Ale Tyś przecież mocny, o Boże, i nie tracę nadziei; jestem usilniej przekonany, że dość się wytężać i że mi na koniec dasz serce nowe, w miejsce tego, które zmarnowałem. Wtedy znowu się rozpocznie dla mnie życie, wtedy prawdziwe zmartwychwstanie, wtedy przebudzony z letargu zapomnę o sobie, który byłem dotąd jedynym miłości mojej przedmiotem, i wyleję się cały na zewnątrz, rozchylę się na wszystkie strony, aby spalonemi wargami pić pełnemi haustami ową słodycz miłości, której nie zaznałem nigdy, ową niewypowiedzianą rozkosz, istotę zupełnego oddania się Tobie. Ziść się niedługo Boże, nie odkładaj tego mocnego momentu, gdzie nareszcie Ciebie, tylko Ciebie wielbić będę, a siebie nigdzie nie znajdę, gdzie tylko Ciebie znać będę, a siebie nigdzie nie spotkam, gdzie tylko w Tobie i przez Ciebie działać będę, a w sobie żadnej nie doznam już woli.

Rzym 11. listopada (8 godzina z rana)

Stosunek stworzenia do Stwórcy można tak oznaczyć. Bóg stworzył świat z miłości. Miłość wymaga kochających. Nieskończona miłość wymaga nieskończonej liczby kochających. Bóg widząc że cała wieczność już napełniona miłością, widząc, że poza wiecznością inne jest możebność kochania Go, zamienił tę możebność natychmiast w rzeczywistość, bo jego dobroć wylewa się poza granice swoje, bonum est diffusivum sui. Stworzył doczesność aby Go kochała. Wszystkie stworzenia

składające doczesność mają cel ten sam, kochać Boga. To kochanie jest Bogu przyjemnem i pożądanem, inaczej nie byłby go stworzył. Ale co jest kochać? Oddać siebie całego? Stworzenie powinno oddać się całe Bogu. Ale to stworzenie niczem nie jest, pozbawione wszelkiej treści – nie można więc oddawać tego, co nie jest. A jednak miłości nie masz, bez oddania. Któż się oddaje? i komu? Stworzenie częściowe nie, bo nie jest, zatem żadnych nie może z siebie wypełniać aktów dodatnich, a miłość największa jest aktem dodatnim. ~~Ktoś~~ nie może ~~ten~~ czegoś oddawać, to się nie ma, a tem mniej siebie, które jest najzupełniejszym wyrazem nicości. Któż więc kocha? Boga! Któż oddaje? Bóg. Komu Bóg oddawa? Siebie. Komu oddawa siebie? Bogu. A więc nie stworzenie kocha Boga, lecz Bóg sam kocha siebie w stworzeniu. Nikt nie może kochać Boga, jak On siebie samego.

Może się dziwnem wydawać, że Bóg, będąc już pełnią swojej miłości jeszcze doczesne stworzył postacie, aby siebie w nich kochać? Może się wydawać zbytecznem, a wszak samo, że ktoś kocha siebie w drugim, może wydawać się śmiesznym, ale pustym frazesem. A jednak my, gdy oderwiemy się od Boga, nie zostaje nam, chcemy się rozkoszować i niby być małemi Bogami niczem nie innego.

Cieszymy się, gdy nas kto kocha, ale tylko ta miłość jest zupełna i prawdziwa, która się oddaje cała, która nie zostawia sobie nic, ani nawet samodzielności. Dla niejednej więc osoba, która nas kocha, tylko nam sprawia przyjemności i dla tego nie każda miłość nam jest przyjemną. Jeźli zapuścimy do gruntu samego, to dla tego miłość nam jest przykrą, a osoba kochająca oddała nam się cała i nie zostawiła sobie nic, najmniejszej drobnostki, któraby wyłącznie należała do niej-

Ona stała się formą, w którą wlewamy nasze jestestwo, naczyniem, które naszą treścią wypełniamy. Chcemy aby ta osoba była zupełnie nami, nie chcemy, aby gdzie miała inne oparcie, inny punkt grawitacyjny, prócz w nas. A w zespoleniu fizycznem, które jest symbolem, mistycznym obrazem miłości, czyż nie zapominamy zupełnie o tem, która nas przyjęła od drugiego łona, czyż nie zamieniamy się w ciało, bez uczuciowości, bez oporu, który nas ożywia by myśla uprzedzając, urocza, ale czyż w tej myśle jest coś nieczystości, prócz mojej? Odpowiadam, że nie. —

Dla tego też nie każdemu pozwalamy kochać nas, tylko tym, którzy się wydają godnemi formowania naszego jestestwa — innych miłość jest nam niepotrzebna, zbyteczna.

Tym sposobem możnaby wydawać, że Bóg jest największym egoistą, bo widzi i tylko siebie widzi i siebie wielbi — co my za wadę uważamy, robi on na nieskończoną. Bo tylko Jemu wolno być egoistą — każdy inny, gdy zechce być egoistą, staje się niby Bogiem a nędznym czartem. Ale egoizm Boski a ten różny od naszego, że my tylko siebie kochamy, nie dbając o nic więcej i w tem jedyny cel nasz upatrujemy — a Bóg, chociaż kocha siebie, bo nic innego kochać nie może, jednakże dla tego siebie kocha aby innych uszczęśliwić, aby inni byli szczęśliwymi przez to, że w nich siebie widzi i siebie kocha. Tym sposobem pozwala nam Bóg brać udział w swoim kochaniu i daje nam w tem szczęście. Aby o tem nigdy nie zapominano.

Rzym 16 listopada (9 godzina z rana)

Obok przezroczystej drogi stoi drzewo rozpostarte, o rozłożystych konarach, w pełni zieleni swojej — z drugiej strony u stóp dni wielkiej przeźroczystości staw z ciemnym spodem. Z liści jedno patrzą na drugie — tam woda gdzie pobo-

tygrysów swoich skaczących po ziemi lub wesoło wiszących ~~w~~ razem z innemi na ~~pi~~- [ukształ...]
piaskach. Tak im tam dobrze powszystkim nie jedna; idą gdzie im się podoba, a
jakie ładne na nich sukienki, złote i srebrne, podobne gdy my w codziennym
zielonym aksamicie. W tem wiatr silniej zaigrał i liść jeden, do połowy
zżółkły, z ciemnej oliwkowymi brunatnemi brzeżkami, co z daleka bardzo
pięknie się wydawało, poleciał na gałęzi i zawisnął na obłok niekonten[tny]
brać. Nie znały się osobliwie, bo on już dwa tygodnie temu jak spadł,
a tamte nie liczyły więcej jak 5 dni istnienia – wtedy gawęda, on im
wykłada, że wcale nie tak dobrze, jak się zdaje, że ich swoboda pogra-
mone, że żadnej prawdziwej nie zażyją wolności, że przyjdzie jesień, zimno
na ziemi – słuchające liście nadąsały się.

Tymczasem na odwilżonym korzeniu, który się zaplątał z ubolewaniem
i współczuciem w stojącą wodę, niektóre liście zważywszy kilka
z swoich tam pływających w rozmaitych kierunkach – jeden z nich dowie-
dział się, co za nędznie, co za radości innych – chciał potem opowiadać,
że to wszystko złudzenie, że ich i zabawa i nędznie tych liści [illegible]-
rzyjące, że niedługo pójdą na dół i tam zgniją na torf.

<u>Ryga 26. listopada (9 godz. wieczorem)</u>

Mała dziecina stoi przy kolanach siedzącego ojca, a jedną ręką (go. się) trzymając, wyciąga drugą ku ziemi, i zrywa poziomki. Ojciec jej powstaje, aby mogła się trzymała. W tem zoczyła poziomki w dali, ładniejsze od tych, których do-sięgnąć może; im się przynajmniej zdaje, że ładniejsze, bo ocieniają się drzewce w promieniach słońca. Opuszcza kolano, o które się trzymała i bez[illegible] dwojrzyn krokiem ku przedmiotowi pragnienia – ale nie opuszcza wciąż [illegible] nie stawia jeszcze wybitnie ~~poskoczoki~~ – ledwo potoczyła się i trzy kroki; pada

a wszakiem dostając za kwiatek pochwały, czują się uszczęśliwione. Koszyk przecudny.

---

Przed przyjściem Zbawiciela ludzie lepsi, którzy przeczuwali jakiemś czuciem zaniepokojenie, twarzą przy Bogu, składali mu ofiarę z polnych kwiatów, suchych i bezwonnych. Potem przyszedł Zbawiciel i zasadził ogród rzadkiemi kwiatami wielkich barw i dozwolił wszystkim wchodzić do niego i rwać podług woli. Cóż powiedzieć, gdy dziecko im nie da kwiatów, ze zmiennego czem się usprawiedliwi? wszak tylko do ogrodu mu wejść i nazbierać bukiet? A cóż powiedzą, gdy mu w rano przyniesie garść bukietu polnych kwiatów, suchych i bezwonnych? wszak mu powiedzą: czy cóż dodać do tego lub do torby i wtedy wziąłeś stojący bukiet niepamiętny, przeznaczony na zwiedzenie, zamiast do ołtarza; a w ogrodzie masz śliczne grzędy wielkich kolorów, mogłeś utworzyć wolniej i spokojnie prawdziwy bukiet, włożyć do wody uważnie i nie będzie uschnięty i piękny.

Dzisiaj wszczepienie ... – wszak prawo ... jest i Bóg tylko jednej miary wymaga, abyśmy co dzień chodzili do ogrodu i z ~~tego~~ kwiatów przez tenże pielęgnowanych, urwany bukiet Jemu składali w ofierze. Ale i tego nam się nie chce – takie to nasze lenistwo.

---

Rzym 27. listopada (8. godz. z rana)

Cóż jest nieczystością? to, co pod zmysły podpada? A więc zmysły rękojmią nieczystości. Ale wtedy najszczytniejsze, najpiękniejsze obrazy czyjeś to mamy wtedy, bo nie podpadają pod zmysły. Nawet egzystencja nasza, czyż pozostaje zmysłami? czyż dla tego przekonani jesteśmy o egzystencji naszej, że widzimy ciało nasze. Lub wasze wstydu, gniewu. Czy dopiero wtedy wierzymy

że nie gniewamy, że się rozpływamy w rozkoszy, gdy widzimy w zwierciadle grę muszkułów twarzy naszej lub gdy gwałtownie zaczniemy biegać po mieszkaniu? Nie zadość, jesteśmy nie nadto wypełnieni tem uczuciem, abyśmy powątpiewać mogli o rzeczywistości jego. Gdy w ten sposób przejdziemy z kolei wszystkie objawy życia naszego, przekonamy się, że te, co pod wszystkimi perspektywami, daleko więcej rzeczywistemi się zdawają. Obracamy głowę, w mniemaniu, że nas ktoś wołał. Ten nas niepokoi, że nie, i jesteśmy zupełnie niespokojni tem jego zapewnieniem. Zupełnie nam się zdało. Nie widzimy w tem nic niezwykłego, owszem wiemy z doświadczenia, że to nas codziennie spotyka. Ale wątpię, aby znalazł się człowiek, który na wspomnienie jakieś uczuł nagle w sobie uczucie zazdrości, chociaż słabe, chociaż chwilowe, a potem sobie powie, że to tylko mu się zdało, że nie miał tego uczucia. On nie powie sobie: nie mogło być, abym nie miał tego uczucia. Wszakże przekonany o jego rzeczywistości. Bo też w duszy nie ma [illegible] krainy rzeczywistości, podczas gdy między są jakoś wspólną krainą, polem boju, gdzie rzeczywistość i ułuda, każda do potęgi, walczą.

Inaczej zresztą być nie może. Bo gdyby dusza jeszcze łudziła się, nie mielibyśmy żadnego kryterium. To też najsłabsze utwory, zwracające się po duszy, mają więcej niezłomnej rzeczywistości, niżeli świat zewnętrzny — bo o nich nigdy nie wątpimy, że są w nas, choć przekonani o faktycznej ich istności, podczas gdy o zewnętrznych fenomenach wiemy nieraz powiedzieć, że nam się tylko zdało?

Słyszymy jakieś wołanie — nie wątpimy o tem, iżeśmy słyszeli, i o tyle jest rzeczywiste — ale czy pochodzi z przyczyny zewnętrznej, nie wiemy — ~~[illegible]~~ a nie przeważnie przyczyny, mówimy: zdało mi się — t. j. głos ów, jakkolwiek

niezmienny wewnątrz mnie, nie ma zewnętrznej niezmienności – a wszak wewnętrzna niezmienność przynosi, daje dzień zewnętrzny.

Rzym 29. grudnia.

Dzisiaj opuścił nas brat Mieczysław – Bóg tylko i spowiednik jego wiedzą, dla czego. Za nim przyszedł do nas, był w Kolegium. Będzie słuchał teologii w Collegio Romano, ale mieszkając prywatnie, na mieście. Cóż ten biedak sam pocznie! Jak on był smutny, gdy się żegnał z nami, a trzy łzy[?] ma się w pięknych oczach. Nie pytałem go się, dla czego nas rzuca, uściskałem go tylko 5 czy więcej razy i uciekłem smutnie do rozważania. O włos nie dodałem: na tamtym świecie – tak mi było, jakby gdybyśmy się żegnali na zawsze. Prosił mnie o modlitwę, ja odparłem mu na to, że lepiej wyjdę ja na jego modlitwach, niżeli on na moich. Z pokorą przyznaję[?], a on prosił tak rzewnie, aż żal się zrobiło biednego chłopca. A ja mu odpowiedziałem rzewnie. Również będę się modlił za niego co dzień, bo to piękna dusza. Dla czego nas rzuca, nie pojmuję, bo on nie do świata stworzony. Ale Bóg ma swoje tajemnice, więc mi się o nie pytać. Niech go P. Jezus prowadzi.

Wczoraj był u mnie Edzio Ratyński[?]. Żyliśmy tyle czasu razem, w dobrych i złych godzinach, w kłótniach i zgodzie. Ale więcej było tam kłótni, prawie zawsze, bo charaktery nasze zbyt były sprzeczne między sobą. Albo raczej z tego samego były kroju, dla tego zgodzić się nigdy nie mogły. Dzisiaj patrzymy na przeszłość spokojnie, jak wino klasztorne, które przy się odstało. On zmężniał a przy wszystkich wadach swoich zaczyna zapominać i rozumieć nawet i dobre ma z tem do twarzy[?] bo niegdyś był on nieobliczonym[?] wcale[?]. Mówiliśmy o przeszłości.

Stanęła przede mną i spojrzałem jej w oko, ona chciała mnie pełnym zwrócić spojrzeniem, ale pozostałem zimny. Bo serce moje postarzało się. A kto wie, może nie moje serce, lecz ona się postarzała. Doznałem tego wrażenia, co człowiek, który rozłączony się z piękną panienką, odjechał w świat. W sercu uniósł ze sobą anielski obraz swojej bogini, oprawny w złote ramy miłosnego szału. Przysiągł obrazowi wierność i wiózł go ze sobą przez lat dwadzieścia. Uczucie jego ani o stopień nie ochłodło, szał wyobraźni pozostał zupełnie ten sam. Przyjeżdża do niej i już do niej na wpół — w tem, o Boże, co za twarz, co za wzrok, co za głos — to niepodobna, aby ona była, nie ona tak się postarzeć nie mogła. Zapomniał głupiec, że on pozostał młodym, bo serce nie starzeje się nigdy, ono wiecznie młode — ale ona zwiędła — forma ginie, jestestwo pozostaje. Tak i mnie się stało z przeszłością moją: ona zwiędła, ja pozostałem, oczy jej przygasły, serce moje pozostało ognistem, namiętnem, dzięki Tobie mój Boże, który sercu mojemu wróciłeś życie i ruch. Ale teraz ono całe do Ciebie należy, nie do przeszłości. Ona je zabiła, Tyś je ożywiłeś, więc słuszna, aby do Ciebie należało, rąk Twoich dzieło.

Piątek 8. stycznia 1869.

Odbywamy dziś rekolekcye miesięczne i wszystko szczęście w milczeniu — ono otacza nas, obejmuje nas, nad nami się unosi i owiewa nas niby jasną mgłą, ono ze każdym więcej zamętu, niżeli za pierwszy raz. Ale w tem uczuciu samotności niebo słodyczy, dzisiaj stało się ono dla mnie upragnionem, niezbędnem, bez niego nie mógłbym istnieć dłużej.

Spoglądam na miesiąc cały, który ubiegł od ostatnich rekolekcyi i nie mogę się w nim dopatrzeć rzeczy dobrych — ta sama słaba z przeszłością

tkwi we mnie niezmiennie; gdybym miał ówczesną doskonałość moją, tem więcej mi nie dostawa, skarżę się ona równa rzeczy, bo brak mi stąd wszystkiego. Piękna to pociecha, powiesz mi niejeden w pewnej klasztornej po wielu miesiącach, a pytanie: jak daleko zaszedłeś? odpowiadam: jeszcze brak mi wszystkiego. A jednak i postępy widzę we mnie, bo też pociechy stała by się dowodem niemożnym uczuciem. Pociecha w tem, że porównywając niedawne uchwyty z dawniejszemi i moja istota teraźniejsza z dawniejszym stanem mej duszy, widzę mi się ona więcej oswojoną więcej wciągniętą w przedmiot. Doznaję podobnego wrażenia, co niegdyś w szkołach, gdy po kilku miesiącach pisząc dziwiłem się, że wszystko mi obce mi powstało i przylegające, niegdyś mi się wydawały dalekiemi, nierozumiałemi, niepodobnemi do objęcia. Tak i z moim stanem religijnym, dzisiaj ono przylega do mnie więcej, niżeli przed kilku miesiącami; ale to dopiero postęp relatywny, bo nie mierzony z doskonałością —

Piątek 5. lutego. (z rana).

Po miesięcznej przerwie nastało znowu milczenie ćwiczeń duchownych: o jakiem wspomniałem, że pragnienie moje szczerze zostało ugaszonem. Miałem prawdziwe pragnienie milczenia. W dawniejszych miesiącach nigdy tak nie tęskniłem za rekolekcjami, jak tego razu: czy by to miał być postęp na drodze ku dobremu, ku poważnej myśli i samo-poznaniu ~~siebie samego~~ czy też to tylko kaprys chwilowy? Nie wiem, to jedno tylko niewątpliwie pewno, że często w ostatnich czasach czułem potrzebę milczenia i samotności. Dziwnem się może wydać potrzeba taka, doznana w mojszem wieku i osamotnienia. Zamknięty dzień cały w mojej celi, wzdycham za samotnością! To już paradoks nad paradoksami. Gdzież ją znajdę

jeżli jéj nie mam w sobie, w celi mojéj? Zatem wskazać mogę temu przyczynę. Jestem cały dzień zajęty, a kto zajęty, ten nie samotny. Czyżbym więc nie chciał być zajęty? O nie, broń Boże — tylko chciałbym ~~w~~ przypatrzyć się temu, co robię, i sobie, jak robię. A na to potrzeba samotności niezajętej. Bo gdy wypełniona, gdy zajęta czemś, już nie jest samotnością, nie jest próżnią, lecz tem, co ją wypełnia, nie jest ciszą, lecz tem, czem obrzmiewa. A dotąd samotność moja zawsze wypełniona. Podczas modlitwy i rozmyślań przypatruję się P. Bogu, podczas studyów przedmiotowi, którego się uczę, podczas rekreacyi braciom, z którymi się bawię lub przechadzam. Rzadko przypatruję się sobie, a prawie nigdy temu co robię. Jak to, zapytasz czytelniku, a co podwójny rachunek sumienia, dwa razy w dzień, w południe i wieczór? Czy drzemiesz wtedy, lub o niczem nie marzysz? Broń Boże, lecz myślę o ujemnościach moich, o tem co zrobiłem ujemnie. Więc chciałbyś o dodatnich swoich stronach rozważać aby się lubować ich przyjemnym widokiem? Chciałbyś na to patrzeć i to podziwiać! Więc na to pragniesz wolnego czasu? na to wzdychasz za rekolekcyami! Szkoda ci rekolekcyi.

Cierpliwości, kochany czytelniku, pozwól mi się wygadać, bo chociaż czuję, o co mi chodzi i czego mi potrzeba, jednak niezmiernie mi trudno to wysłowić jasno i dobitnie, zapewne dla tego, że to, co czuję, pozostało dotąd ciemnem, niewytłumaczonem uczuciem, a nie podniosło się jeszcze do potęgi jasnej, samowiednej myśli.

Otóż z dnia na dzień praca i modlitwa, tym samym trybem się odbywają. Każda chwilka zajęta, ułożona podług stałego planu. W każdej chwilce mamy iść z P. Jezusem, a chociaż często się

wszystkiego, i utrzymania jednostajnego planu, przecież i w tych chwilach odpocznego odpoczynku i wytchnienia lub zajęć religijnych, nigdy sam nie jesteś, ani zostawiony własnemu popędowi. Stąd podobny jesteś do podróżnika, który wciąż idzie za prąd, nie oglądając się ani w prawo ani w lewo — jakieś mogiłowy, gdy od czasu do czasu znajdzie ławeczkę, gdy spocznie na niej i szeroko do około zatoczy okiem ciekawem. Takie nie wiedział jak wygląda kraj, przez który przeszliśmy i jaki on obszerny? Otóż taką ławeczką wytchnienia, takim punktem widzenia na wsze strony, są dla mnie rekolekcje. Odgadnieszże więc łatwo, jak wielce one dla mnie przyjemne, czy również korzystne, nie wiem, bo może być, że kroczę jako w nich upatrzę, ułudną jest i fałszywą.

Mógłbyś mi zarzucić, że nie powinienem być zmęczonym owym pielgrzymem, szukającym ławki. Prawda, nie powinienem i nie potrzebuję, bo nie jestem zmęczony — ale chciałbym od czasu do czasu obejrzeć za się to, co przechodziłem stopniami, kawałkami i potem zobaczyć jak moja całość niedoskonała wygląda wobec tej przebytej całości — Możebyć, że to widzenie moje fałszywe jest; więc, że to jeszcze nie dojrzała myśl, powinienem bezustannie nad nią zastanawiać się i ze wszystkie ją obracać strony, abym ją dobrze zgłębił i należycie objął. —

Wczoraj byliśmy w bazylikach, przedwczoraj u S. Piotra, a wczoraj w wielu innych. Wszystkie studyas zostawiła mi ta pielgrzymka, przeszła jak ~~dzień~~ sen rozkoszny. Dzisiaj już jej wspomnienie kołysze się zdala, jak złota chmurka, o której wszyscy nie wie, że byłem cały w niej i że mnie otaczała. O chmurko, czemu odbiegłaś tak szybko, czemuś tak nagle zniknęła. Wczoraj wypełniałaś mi świat cały i nie

widziałem nic, prócz Ciebie – a dzisiaj jesteś wspomnieniem. Wczoraj byłaś tak rzeczywistą i prawdziwą, że wszystko dawniejsze i wszystko obecne wydało mi się niekoniecznym układem, bez treści i bez prawdy, a dzisiaj jesteś obrazem myśli mojej. Czem będziesz jutro? obrazem obrazu, i tak w następstwie, coraz bledszą kopią niegdyś pełnej twarzy, aż w końcu tak stanie się blada, tak przejrzysta, tak powietrzna, jak gazowa twarz Dżanny, gdy się rozpływa zwolna, niby szyba mgły, w promieniach wschodzących słońca. I ty tak zgaśniesz. Dzisiaj jeszcze świecisz spokojnie i jasno, choć już nie swojem światłem, bo dzisiaj tylko księżycem jesteś, podczas gdy wczoraj byłeś słońcem. A ona i to twoje księżycowe istnienie, jak długo potrwa? Nie długo, dzisiaj świecisz, bo spokojność nowa w duchu mojim, skupiłem się i odpoczywam, ale pojutrze prawdopodobnie, gdy znów zatęsknię na horyzoncie mojim, i wtedy ty zgaśniesz, mój księżycu miły, ty co mnie wczoraj do łez wzruszałeś, a dzisiaj jeszcze tak cicho przyświecasz – jutro zaczniesz ustępować, a niedługo będziesz gwiazdką malutką, bez światła i życia, i nie spojrzę na Cię więcej. Tak ze wszystkiem się dzieje mój Boże, a każde doświadczenie, każdy obraz doczesny, choćby cały Tobą wypełniony, podlega prawu czasu, razem z nim rodzi się i umiera. Tylko Ty nie zmienny, Ty wielki, niezmienny.

Rozważyłem wszystkie rany, któremi okrył Zbawiciel ciało swoje najdroższe, a przy każdej ranie prosiłem go o jedną cnotę i uwolnienie od jednego grzechu. Gdyby mi tylko jedną dał cnotę, a ja go o wszystkie prosiłem! Jakiżbym był szczęśliwy, choć z jedną cnotą, i jakże inaczej patrzałbym na świat i na obliczne stworzenie — ale tak

dźwięcznie splatane między sobą nuty, że dźwięki nierozłączone, albo wszystkie mieć trzeba, albo żadnej, bo jedna wyłączona rozstroi wszystkie inne, a zdrowie wszystkich jest zdrowiem każdej z osobna, tak jak choroba jednej choroba jest wszystkich, a śmierć jednej śmiercią wszystkich.

Nie rozumiem filozofii teoretycznej bez zastosowania. Uważać filozofię za jakąś szkołę mądrą, naukę systematyczną, różniącą się więcej w formie niżeli w istocie od nauk innych, jest zupełnie niedorzecznem twierdzeniem. Filozofia powinna być albo wszystkiem, albo wszędzie powiedzieć iż jej nie ma żadnej.

W starożytności filozofia była wszystkiem — z nastaniem chrześcijaństwa ustąpiła na miejsce bardzo podrzędne, a teologia, religia zajęła jej tron, na którym obsiadła niedzielnie.

Potem wskrzeszona z greckich rękopismów stanęła udzielnie, ale spotkała się niebawem z teologią — wojna między niemi bardzo naturalna, bo punkt wyjścia ~~stanowisko~~ ten sam, środki różne, cele na pozór sobie podobne, w gruncie między sobie przeciwne —

Zgody między niemi być nie może, bo teologia z natury rzeczy musi być wszystkiem, a filozofia z tradycyi swojej także musi być wszystkiem —

Filozofia która nie jest wszystkiem, nie ma celu. Jeżeli jest wszystkiem, to uczy człowieka, jaka przyczyna wszystkiego, jakie cele jego i jakie środki do dopięcia go — człowiek wie, skąd jest, dokąd idzie i za pomocą czego. Czy filozofia teraźniejsza to robi? oczywiście nie — w starożytności miała tę pretensyą — potem przyjęła teologia z tą samą pretensyą, z dwóch konkurentów jeden oczywiście

ustąpi. W pierwszych wiekach chrześciańskich zostało to najgorzej – pogańska filozofia poszła tym samym trybem w chrześciańskie – chciała doprowadzić człowieka do Boga. Chrześciańska filozofia nie rozdzieliła się zupełnie od teologii – a od pogańskiej nie była różną co do formy i zadania, choć różną co do zasadników środków. –

Teologia i filozofia chrześciańska jedno są. Jedna filozofia nie ma jednego celu – dzisiaj może jest inna filozofia dogmatycznej, ale tego studiują jej historyą, aby oznaczyć niejako punkt wyjścia nowego systemu – ale chcemy to wszystko – jedna prawdziwa filozofia systematyczna, a ta obejmie i teoryą i praktykę zarazem. –

Filozofia, system wiedzy, obejmie wszystko, o czem co wiedzieć możemy. To wszystko mieści się w dwóch słowach: świat i Bóg. Poznać świat i poznać Boga, oto cel prawdziwej filozofii. Ale to cel tylko pośredni, nie ostateczny. Gdyby człowiek tylko ~~myślał~~ patrzał, tylko myślał, byłby cel ten ostateczny, ale człowiek także czuje, także działa. Człowiek nie jest główką aniołka, zawieszoną na dwóch skrzydełkach w błękicie i przestrzeni, lecz osadzona ona na gałęzi, który się porusza i bezustannie styka z rzeczywistością. W tym ciele tkwi dusza, zakorzeniona cała w woli a od jakości woli zależy cały ciężar bytu jej, mężnie lub niemężnie.

Ale skoro się myśl, bez woli zamyka w sobie ostatecznym cel człowieka, wtedy, że teorya stworzenia świata i Boga

2/ nie wystarcza, że potrzeba środków i drogi, którą się do celu ma dojść. Za teoryą pójdzie praktyczne zastósowanie. – Rozumie się, że praktyka czerpa z teoryi, jako z czystego źródła, ale jej wmówimy że pijemy, i bez niej pomarlibyśmy z pragnienia. Teorya wykazuje, że Bóg naszym ostatnim, jedynym celem; praktyka powinna podawać środki. Na to środek tylko jeden: przez Syna do Boga. Chrystus Pan przyszedł na ziemię, ażeby środek ten podać wszystkim. Twierdzenie to wyda się dziwnem, w ustach filozofa, a jednak prawdziwe, jeżeli uważymy boskość Chrystusa.

Teologia nic innego nie podaje, bo jakkolwiek mówi szczególnie o stosunku świata do Boga a Boga do człowieka, oczywiste, że gruntowna znajomość Boga i człowieka musi być podstawą całej wiedzy.

Chyba tem różni się teologia od filoz: że pierwsza wychodzi od objawienia, druga od rozumu – pierwsza w objawieniu widzi prawdę absolutną, druga ją jedynie rozumem odkrywa. Trzeba więc o tem coś powiedzieć, o tem rozdzieleniu objawienia i rozumu.

Stosunek duchownych do filozofii powinien być taki: mają ją opanować i system chrześcijańskiej religii ogłosić jedynie prawdziwą Metafizyką. Metafizyka sama przez się nie wiele zdziała, bo w ogólnikach się obraca. Potrzeba tę algebrę zastósować. Wtedy wypadnie naśladować Hegla, który wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej w tyglu swojej filozofii na nowo przetopił – zróbmy to samo – postawmy na czele chrześcijańską Metafizykę i pod nią obrazmy całą wiedzę ludzką, opracowaną podług niej.

98

Wtedy stanowisko duchownych do nauk specyalnych odmieni
się zupełnie. Dziś, z jednej strony teologowie, z drugiej
ludzie świeccy z pogańskim sposobem myślenia. Młodzież
wychowana przez dwie wrogie sobie siły — zamykam mło-
dzież lub uczę ją odwracania od klasyków chrze-
ścijańskich nie wystarcza, bo potem, puszczona wolno
a olśniona wrogim wdziękiem, gotowa się tem skwa-
pliwiej przenieść w obóz przeciwny. Trzeba walczyć
na swojem, stawiając tezę na wszystkie tezy.

Dziś nauki przyrodnicze, filologiczne, historyczne,
polityczne, przybrały olbrzymie rozmiary, a wszystkie
dochodzą do wyników, podkopujących chrześcijaństwo-
etyczny ciągle: historya przyrody mówi czego innego
teologii, czego innego i t. d. Zbyć te wywody
wykazać, że wyniki tych nauk nie są antichrześci-
jańskie
jest coś, ale nie wszystkiem — nie wystarcza, aby
udowodnić, że fizyka nie sprowadzi do takich
lub innych zarzutów, a nawet fizyki zostanie
nietknięta, niech sobie stoi w chmurze — to stanowisko
obronne, na którem teologia stoi się nie ostoi —
potrzeba by przeszła do ataku, by sami teologowie
uprawiali fizykę i dawali syntezę chrześcijańską,
a nie zostawiali jej w rękach indyfferentów lub
niedowiarków. To samo tyczy się innych nauk, wszystkie
powinny być opracowane ze stanowiska chrześcijańskiego.
Zresztą inaczej być nie może — dla teologii świat ten
poznać obojętnym nie może, bo chodzi o jego stosunek
do Boga, trzeba więc znać a i b.

## LISTOPAD

ma dni XXX.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | N. | **Wszyst. SS.** |
| 21 | 2 | P. | *Dzień Zad.* Wikt. |
| 22 | 3 | W | Huberta B. |
| 23 | 4 | S. | Karola Boro. |
| 24 | 5 | C. | Zacharja. i Elż. |
| 25 | 6 | P. | Leonarda W. |
| 26 | 7 | S. | Willibarda B |
| 27 | 8 | N. | Godfryda |
| 28 | 9 | P. | Teodora M. |
| 29 | 10 | W | Andrzeja z Aw. |
| 30 | 11 | S. | *Opie. N.M.P.* |
| 31 | 12 | C | 5 braci Po.M. |
| 1 | 13 | P. | Dydaka W. |
| 2 | 14 | S | Serapiona M. |
| 3 | 15 | N. | Leopolda W. |
| 4 | 16 | P. | Edmunda B. |
| 5 | 17 | W | Salomei P. |
| 6 | 18 | S. | *Barlaama. Max |
| 7 | 19 | C. | Elżb. Kr. Węg. |
| 8 | 20 | P. | *Feliksa Waler. |
| 9 | 21 | S. | *Ofiar. N.M.P* |
| 10 | 22 | N | Cecylji P.M. |
| 11 | 23 | P. | Klemensa P.M. |
| 12 | 24 | W | Jana od Krzyża |
| 13 | 25 | S. | Katarzyny P. |
| 14 | 26 | C. | *Piotra Al. |
| 15 | 27 | P. | Barlaama i |
| 16 | 28 | S. | Rufa i Manswe. |
| 17 | 29 | N. | Saturnina |
| 18 | 30 | P. | Andrzeja Ap. |

## GRUDZIEŃ

ma dni XXXI.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 19 | 1 | W. | Eligjusza. B. |
| 20 | 2 | S. | Bibianny P.iM. |
| 21 | 3 | C. | Franeiszka Ksa. |
| 22 | 4 | P. | Barbary P. |
| 23 | 5 | S. | Sabby i Piotra |
| 24 | 6 | N. | *Mikołaja B. |
| 25 | 7 | P. | †Ambroż. B. |
| 26 | 8 | W | ***Niep P.N.M.** |
| 27 | 9 | S. | Leokadyi P. |
| 28 | 10 | C. | *N. M. P.L*or. |
| 29 | 11 | P. | Damazego |
| 30 | 12 | S. | *Synezjusza i Al. |
| 1 | 13 | N. | Łucyi P. M. |
| 2 | 14 | P. | Spirydyona |
| 3 | 15 | W | Ireneusza M. |
| 4 | 16 | S. | Euzebjusza B. |
| 5 | 17 | C. | Łazarza B. |
| 6 | 18 | P. | *†Gracyana |
| 7 | 19 | S. | Faustyny W. |
| 8 | 20 | N. | Teofila Męcz. |
| 9 | 21 | P. | †Tomasza A. |
| 10 | 22 | W | Zenon. i Flaw. |
| 11 | 23 | S. | Wiktorji P. |
| 12 | 24 | C. | † *Wigi.* Ad. i Ewy |
| 13 | 25 | P. | **Nar. Ch. P.** |
| 14 | 26 | S | **Szczepana** |
| 15 | 27 | N. | Jana Ewan. |
| 16 | 28 | P. | Młodzianków |
| 17 | 29 | W | Tomasza B. K. |
| 18 | 30 | S. | Eugeniusza B. |
| 19 | 31 | C. | Sylwestra P. |

# ROZKŁAD JAZDY

## NA DRODZE ŻELAZNÉJ

*Warszawsko-Wiedeńskiéj*

### DROGA ŻELAZNA WARSZAWSKO-WIEDEŃSKA

| NAZWISKO STACYI | Pociąg pospieszny G. M. | Pociąg osobowy G. M. |
|---|---|---|
| | rano | rano |
| z Warszawy, wychodzi . . | 6 30 | 11 — |
| — Skierniewic . . . . . | 8 10 | 1 16 |
| — Petrokowa . . . . . | 10 7 | 3 47 |
| — Częstochowa . . . . | 12 5 | wieczo |
| — Ząbkowic. . . . . . | po południ. | 6 28 |
| do Sosnowca przychodzi | 1 34 | 8 29 |
| | 1 59 | 9 — |
| | z południa | rano |
| z Sosnowca wychodzi . . | 12 58 | 7 30 |
| — Ząbkowic. . . . . . | 1 32 | 8 3 |
| — Częstochowa. . . . . | 3 5 | 9 54 |
| — Petrokowa . . . . . | 5 13 | 1. |
| — Skierniewie . . . . . | wieczore.. | po połn. |
| do Warszawy przychodzi . | 7 21 | 3 35 |
| | 8 50 | 5 38 |

Дозволено Цензурою

*Варшава 7 Сентября 1867 г.*

# KALENDARZYK

# KIESZONKOWY

## NA ROK

## PRZESTĘPNY

# 1868.

CENA KOP. 3. (GR. 6)

**WARSZAWA**

NAKŁADEM JÓZEFA KAUFMANNA KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr. 442 (71)

## STYCZEŃ

ma dni XXXI.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | S. | **Nowy rok** |
| 21 | 2 | C. | Makarego O. |
| 22 | 3 | P.* | Danie. i Geno: |
| 23 | 4 | S. | BB.Tytu. i Gr. |
| 24 | 5 | N. | Telesfora P. |
| 25 | 6 | P. | **Trzech K.** |
| 26 | 7 | W. | Lucyana M. |
| 27 | 8 | S. | Seweryna O. |
| 28 | 9 | C. | Marcyanny P. |
| 29 | 10 | P. | Agato. i Wilh. |
| 30 | 11 | S. | Higi. P. i Teo. |
| 31 | 12 | N.* | Arkadju. M. |
| 1 | 13 | P. | Weroniki P. |
| 2 | 14 | W. | Hilarego |
| 3 | 15 | S. | Pawła 1 Pus |
| 4 | 16 | C.* | Marcella P. |
| 5 | 17 | P. | Antoniego Op. |
| 6 | 18 | S | Kat. S. Piotra |
| 7 | 19 | N. | Henr. i Kanuta |
| 8 | 20 | P. | Fabjana i Se. |
| 9 | 21 | W. | Agnieszki P. |
| 10 | 22 | S. | Wincentego |
| 11 | 23 | C. | *Zašl. N. M. P.* |
| 12 | 24 | P. | Tymoteu. B. |
| 13 | 25 | S. | Naw. S.Paw. |
| 14 | 26 | N. | Polikarpa |
| 15 | 27 | P | Jana Chryz. |
| 16 | 28 | W. | Karola W. |
| 17 | 29 | S. | Francisz. Sale. |
| 18 | 30 | C. | Martyny P. M. |
| 19 | 31 | P. | Piotra Nolaski |

## LUTY

ma dni XXIX.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | S. | †Ignacego B. |
| 21 | 2 | N. | **Ocz. N. M. P.** |
| 22 | 3 | P. | Błażeja B. i M. |
| 23 | 4 | W | Ansgarego |
| 24 | 5 | S. | Agaty P. M. |
| 25 | 6 | C. | Doroty P. M. |
| 26 | 7 | P. | Romualda O. |
| 27 | 8 | S. | Jana z Matty. |
| 28 | 9 | N. | Apolonii P. i M. |
| 29 | 10 | P. | Scholastyki P. |
| 30 | 11 | W. | Eufrozyny P. |
| 31 | 12 | S. | Gaudentego |
| 1 | 13 | C. | Juljana M. |
| 2 | 14 | P. | Walentego |
| 3 | 15 | S.* | Faustyna M. |
| 4 | 16 | N.* | Juljanny P. |
| 5 | 17 | P. | Sylwina B. |
| 6 | 18 | W. | Konstanc. P. |
| 7 | 19 | S. | Konrada W. |
| 8 | 20 | C | Eucharjusza B. |
| 9 | 21 | P. | †Eleonory P. |
| 10 | 22 | S. | Ka. S. Piotra |
| 11 | 23 | N. | Romany P. |
| 12 | 24 | P. | Macieja Apo. |
| 13 | 25 | W. | Leonarda |
| 14 | 26 | S. | *Pop.* Alexan. |
| 15 | 27 | C. | Anastazyi P. |
| 16 | 28 | P. | Romana Opata |
| 17 | 29 | S. | Antoniego |

* Oznacza dz. galowy

† Ozn. wigilje i posty.

## MARZEC
ma dni XXXI.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 18 | 1 | N. | Albina B. |
| 19 | 2 | P. | Heleny Ces. |
| 20 | 3 | W | * Kunegun.Ce. |
| 21 | 4 | S. | Kazimierza K. |
| 22 | 5 | C. | Teofila B. |
| 23 | 6 | P. | Wiktorji |
| 24 | 7 | S. | Tomasza z Ak. |
| 25 | 8 | N. | Jana Bożego |
| 26 | 9 | P. | Franciszki R |
| 27 | 10 | W | *40Męczennik. |
| 28 | 11 | S. | Konstantyna, |
| 29 | 12 | C. | Grzegorza Pap |
| 1 | 13 | P. | †Nicefo.iMo. |
| 2 | 14 | S. | Matyldy Kr. |
| 3 | 15 | N, | LonginaiLeont. |
| 4 | 16 | P. | †Cyrjaka D. |
| 5 | 17 | W. | Gertrudy P. |
| 6 | 18 | S. | Gabry. Arch. |
| 7 | 19 | C. | *Józ. Ob. N. M. P.* |
| 8 | 20 | P. | Archipa W. |
| 9 | 21 | S. | BenedyktaO. |
| 10 | 22 | N. | Pawła i Okt. |
| 11 | 23 | P. | KatarzynyKr. |
| 12 | 24 | W. | †Marka i Ty. |
| 13 | 25 | S. | **Zw.N.M.P.** |
| 14 | 26 | C. | Ludgera B. |
| 15 | 27 | P. | Ruperta B. |
| 16 | 28 | S. | Syxta P. |
| 17 | 29 | N. | Cyrylla Dyak.M |
| 18 | 30 | P. | Kwiryna M. |
| 19 | 31 | W. | BałbinyiKor. |

## KWIECIEŃ
ma dni XXX.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | S. | Hugona B. |
| 21 | 2 | C. | Franciszka àPa. |
| 22 | 3 | P. | Ryszarda B. |
| 23 | 4 | S. | Izydora B. |
| 24 | 5 | N. | Wincent. Fer. |
| 25 | 6 | P. | Wilh.O.iCelest. |
| 26 | 7 | W. | †Epifanju.B. |
| 27 | 8 | S. | Dyonizego B. |
| 28 | 9 | C. | Maryi Kleofasy |
| 29 | 10 | P. | EzechielaPr. |
| 30 | 11 | S. | Leona Pap. |
| 31 | 12 | N. | **Wielkanoc** |
| 1 | 13 | P. | **Wiel**Hermen |
| 2 | 14 | W. | Tyburcju. M. |
| 3 | 15 | S. | Bazylls.iAna.M |
| 4 | 16 | C. | *Lamberta M. |
| 5 | 17 | P. | Rudolfa B. |
| 6 | 18 | S | Apoloniusza |
| 7 | 19 | N | Hermogenesa. |
| 8 | 20 | P. | Sulpicjusza M. |
| 9 | 21 | W | Anzelma |
| 10 | 22 | S. | *Soter. i Kaj. |
| 11 | 23 | C. | Wojciecha B. |
| 12 | 24 | P. | Bony Panny. |
| 13 | 25 | S. | Marka Ewang. |
| 14 | 26 | N. | Marcel. i Kl. |
| 15 | 27 | P. | Teofila B. |
| 16 | 28 | W. | Witalisa M. |
| 17 | 29 | S, | *Piotra M. |
| 18 | 30 | C. | Katarzyny S. |

## M A J
ma dni XXXI.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 19 | 1 | P. | Filipa i Jakóba |
| 20 | 2 | S. | Anastazyi Zyg. |
| 21 | 3 | N. | Znal.Ś. Krz. |
| 22 | 4 | P. | FlorjanaiMo. |
| 23 | 5 | W.* | Piusa V Pap. |
| 24 | 6 | S. | Jana Ap. w Ol. |
| 25 | 7 | C. | Domiceli P. |
| 26 | 8 | P. | **Stanisł. B.** |
| 27 | 9 | S. | Grzegorza B. |
| 28 | 10 | N. | Izydora |
| 29 | 11 | P. | *Mamerta B. |
| 30 | 12 | W. | Pankracego M. |
| 1 | 13 | S. | SerwacegoB. |
| 2 | 14 | C. | Bonifac. M. |
| 3 | 15 | P. | Zofji z 3 córk. |
| 4 | 16 | S. | Jana Nep. M. |
| 5 | 17 | N. | Paschal.i W. |
| 6 | 18 | P. | Feliksa iEr |
| 7 | 19 | W. | † Piotra Celest. |
| 8 | 20 | S. | Bernarda |
| 9 | 21 | C. | **Wnie. Pań.** |
| 10 | 22 | P. | Julji P. i M. |
| 11 | 23 | S. | † Dezyderjusza |
| 12 | 24 | N. | Joanny Wd. |
| 13 | 25 | P. | †GrzegorzaVII. |
| 14 | 26 | W. | Filipa Nerju. |
| 15 | 27 | S.. | † Magdaleny |
| 16 | 28 | C. | † Germana |
| 17 | 29 | P. | † Teodozyi M. |
| 18 | 30 | S. | Ferdyn. i Em. |
| 19 | 31 | N | **Zes. D. ś.** |

## CZERWIEC
ma dni XXX.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | P.* | **Zie.Swią**.For |
| 21 | 2 | W* | BlandynyP. |
| 22 | 3 | S.. | Klotyldy K. |
| 23 | 4 | C. | Saturnina |
| 24 | 5 | P. | Bonif.B.Wa. |
| 25 | 6 | S. | Norberta B. |
| 26 | 7 | N | Roberta B. |
| 27 | 8 | P.. | Maximina i Me, |
| 28 | 9 | W | Prym. i Felicja. |
| 29 | 10 | S. | Małgorzaty Kr. |
| 30 | 11 | C. | **Boże Ciało** |
| 31 | 12 | P. | †Onufrego B. |
| 1 | 13 | S.* | Antonie. z P. |
| 2 | 14 | N | Bazylego B. |
| 3 | 15 | P. | †Wita i Modes. |
| 4 | 16 | W. | **Trojcy Św.** |
| 5 | 17 | S. | Adolfa Bis. |
| 6 | 18 | C. | Marka M. |
| 7 | 19 | P.* | Gerwaz. M.iPro. |
| 8 | 20 | S. | Sylwerjusza |
| 9 | 21 | N. | Aloizego Gon. |
| 10 | 22 | P. | PaulinaBiskup. |
| 11 | 23 | W. | AgryppinyP.M. |
| 12 | 24 | S. | Nar.S. Jana |
| 13 | 25 | C. | *Prospera B. |
| 14 | 26 | P. | Jana i Pawła M. |
| 15 | 27 | S. | Włady. K.W. |
| 16 | 28 | N. | Ireneusza |
| 17 | 29 | P. | **Piotr. i Paw** |
| 18 | 30 | W | Emilji i Lucyny |

## LIPIEC
ma dni XXXI.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 19 | 1 | S. | TeodorykaK. |
| 20 | 2 | C. | *NawieN.M.P.* |
| 21 | 3 | P. | Heljodora i An. |
| 22 | 4 | S. | Józefa Kala. |
| 23 | 5 | N. | Filomeny P. |
| 24 | 6 | P. | Dominiki P.i M. |
| 25 | 7 | W | Apolonjusza |
| 26 | 8 | Ś. | *Elżbiety. |
| 27 | 9 | C. | Cyrylla Bisku |
| 28 | 10 | P. | Braci syn.Felic. |
| 29 | 11 | S. | *SabinaW. |
| 30 | 12 | N. | Jana Gwalb. |
| 1 | 13 | P. | Małgorzaty P. |
| 2 | 14 | W | Bonawentury |
| 3 | 15 | S. | Henryka Ce |
| 4 | 16 | C. | *N. M. P Szka* |
| 5 | 17 | P. | *Alexego W. |
| 6 | 18 | S | Szymon. z L. |
| 7 | 19 | N. | Wincen. à P. |
| 8 | 20 | P. | Elia.Pr.Czes. |
| 9 | 21 | W | Daniela Pr. |
| 10 | 22 | S. | Maryi Magdal. |
| 11 | 23 | C. | *Apolinarego B. |
| 12 | 24 | P. | Krystyny P. |
| 13 | 25 | S. | Jakóba Apost. |
| 14 | 26 | N. | Ann.M.N.M.P |
| 15 | 27 | P. | *Natalji P.iM. |
| 16 | 28 | W | *Innocent. P. |
| 17 | 29 | S.. | Marty i Serafin |
| 18 | 30 | C. | Abdona i Se. |
| 19 | 31 | P. | Ignacego Lojol |

## SIERPIEŃ
ma dni XXXI.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | S. | Piotra w Oko. |
| 21 | 2 | N. | *N.M.P.Aniel.* |
| 22 | 3 | P. | *Zn.S.Szcze. |
| 23 | 4 | W. | Dominika W. |
| 24 | 5 | S. | *N. M. P. Snież* |
| 25 | 6 | C. | *Przem. Pańs.* |
| 26 | 7 | P. | Kajetana W. |
| 27 | 8 | S. | *CyrjaLar.iSm. |
| 28 | 9 | N | Romana M. |
| 29 | 10 | P. | Wawrzyńca |
| 30 | 11 | W. | Zuzan. iDyg. |
| 31 | 12 | S. | Klary Panny |
| 1 | 13 | C. | Hipolita i Kasj. |
| 2 | 14 | P. | †Euzebiusza |
| 3 | 15 | S. | **Wn.N.M.P** |
| 4 | 16 | N. | Rocha W. |
| 5 | 17 | P. | Anastazjusza. |
| 6 | 18 | W. | *Bronisławy. |
| 7 | 19 | S. | Rufina B. Beni. |
| 8 | 20 | C. | Jacka W. Bern. |
| 9 | 21 | P. | Joanny Fre. |
| 10 | 22 | S. | Symforjana |
| 11 | 23 | N, | *Filipa Benicju. |
| 12 | 24 | P. | Bartłomieja A. |
| 13 | 25 | W. | Ludwika Kr. |
| 14 | 26 | S. | Zefiryna P. |
| 15 | 27 | C. | Cezarjusza B. |
| 16 | 28 | P. | *Augustyna |
| 17 | 29 | S. | Scięcie S. J. |
| 18 | 30 | N. | Róży Panny. |
| 19 | 31 | P. | Rajmunda W. |

## WRZESIEŃ
ma dni XXX.

| | | | |
|---|---|---|---|
| 20 | 1 | W | IdziegoOpata |
| 21 | 2 | S. | Stefana K. w. |
| 22 | 3 | C.* | Joachima Sera. |
| 23 | 4 | P. | Rozalii Panor. |
| 24 | 5 | S. | Wawrzynca Jus |
| 25 | 6 | N. | Zacharjasza |
| 26 | 7 | P. | † *Reginy.Pan. |
| 27 | 8 | W. | **Naro. N.M.P.** |
| 28 | 9 | S. | Adr.iGorg.M. |
| 29 | 10 | C. | Mikołaja |
| 30 | 11 | P. | *Teodory Pok. |
| 31 | 12 | S. | Walerja.i Salez. |
| 1 | 13 | N. | Mauryljusza |
| 2 | 14 | P. | *Podwyż.Ś.Krz* |
| 3 | 15 | W | Nikodema Kap. |
| 4 | 16 | S. | Cyprya P.Eu |
| 5 | 17 | C. | 5ran ś.Franc. |
| 6 | 18 | P. | Józefa z Kop. |
| 7 | 19 | S. | †JanuarjuszaM. |
| 8 | 20 | N. | *Eustachjusza |
| 9 | 21 | P. | *Mateusza A |
| 10 | 22 | W. | Maurycego M. |
| 11 | 23 | S. | Tekli i Łady. |
| 12 | 24 | C. | N.M.P.od W. |
| 13 | 25 | P. | Wlady.iJustyn. |
| 14 | 26 | S. | Cyprjana. |
| 15 | 27 | N. | Kosmy iDa. |
| 16 | 28 | P. | Wacław. Kr. |
| 17 | 29 | W. | **Michała Arch.* |
| 18 | 30 | S. | Hieroni. Do. K. |

## PAŹDZIERNIK
ma dni XXXI,

| | | | |
|---|---|---|---|
| 19 | 1 | C. | Remigjusza |
| 20 | 2 | P. | Aniołów str. |
| 21 | 3 | S* | Kandyda M. |
| 22 | 4 | N | *Franciszka. |
| 23 | 5 | P. | Placyda i Fl |
| 24 | 6 | W. | *N. M. P. Różań.* |
| 25 | 7 | S. | Justyny P.M. |
| 26 | 8 | C. | Brygidy Wd. |
| 27 | 9 | P. | Dyoniz.B.M. |
| 28 | 10 | S. | *Francisz.Borg. |
| 29 | 11 | N. | Placydy P. |
| 30 | 12 | P. | Maxymiljan.M. |
| 1 | 13 | W. | Ewaxrda K. |
| 2 | 14 | S. | Kalidta Pa. |
| 3 | 15 | C. | Jadwigi i Te. |
| 4 | 16 | P* | Florentyn.B. |
| 5 | 17 | S. | Wiktora B. |
| 6 | 18 | N | Łukasza Ewan |
| 7 | 19 | P. | Piotra zAlk.W |
| 8 | 20 | W. | Ireny i Jana K |
| 9 | 21 | S. | Urszuli |
| 10 | 22 | C. | *Jana Kantego.* |
| 11 | 23 | P. | Jana Kapist. |
| 12 | 24 | S. | *Rafała Ar. |
| 13 | 25 | N | *Kryspa i Krys |
| 14 | 26 | P. | Ewarysta P. M. |
| 15 | 27 | W. | Sabiny Męc. |
| 16 | 28 | S. | Szymona. |
| 17 | 29 | C. | Narcysa B.iEu. |
| 18 | 30 | P. | Zenobji i Zeno |
| 19 | 31 | S. | Wolfganga B. |